



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartał. 5 marek.

JULIUSZ KOSSAK.

Sztukę polską osierocił ojciec i patriarchy malarstwa naszego, Juliusz Kossak, zmarły w Krakowie d. 3 Lutego 1899 r. Wielki i miłowany przez wszystkich, artysta zszedł z tego świata w sześćdziesiątym w pełni roku swej działalności malarskiej, sławny, zasłużony, syt uznania i sympatii, pozostawiając po sobie żal głęboki i wieczną wdzięczność w społeczeństwie całym.

Juliusz Kossak urodził się 15 Grudnia 1824 r. w Wiśniczu pod Krakowem. W osmnastym roku życia, idąc za życzeniem matki, zapisał się na wydział prawny w uniwersytecie lwowskim, ale duszno mu było w towarzystwie pandektów, więc się też z niemi szybko pożegnał, a zabrał bliższą znajomość z paletą, którą niebawem na cały żywot zaślubił. Zdolności do rysunków miał niepospolite od dzieciństwa; za uniwersyteckich czasów kształcił się pod kierunkiem profesora Maszkowskiego, który zdołał rozdmuchać iskrę talentu w płomień, wysoko w górę się piętrzący. W zaraniu życia Juliusza Kossaka, jak świadczy historyk sztuki Stanisław Tomkowicz, cicho i pusto było u nas na polu artystycznym: rzeźba tak jakby nie istniała; malarstwo żyło z kapitału, odziedziczonego po epoce Stanisława Augusta, lub zapożyczało się od zagranicy. Żył jeszcze znakomity Orłowski, ale mieszkał w Petersburgu i do Kossaka nie dochodził; zaczynał malować świetny Piotr Michałowski. Wiele panowie zamawiali portrety u Niemców lub Francuzów, a zdobili pałace obrazami starych Włochów i Flamandów. Domyszlacheckie i mieszczańskie obchodziły się lichymi sztychami lub litografiami; pisma słabe zamieszczały liche drzeworyty.

Talent Kossakowi dał Bóg, a praca i studia natury wyrobiły go wszechstronnie i tak wysoko. Zapoznawszy się z kilku rodzinami obywatelskimi, młody artysta zaczyna jeździć po dworach i tam, wnikając w ducha życia wiejskiego, coraz lepiej ogarnia jego rysy i utrwała na płótnie. Kazimierz hr. Dzieduszycki pokazuje mu w Niesłuchowicach zebrane skarby i otwiera przed ujmującym artystą koło najszerszych stosunków towarzyskich. Kossak umie wszędzie wynaleźć rysy godne zapamiętania, mające kiedyś posłużyć do kompozycji przyszłych. W r. 1845 hr. Dzieduszycki i Rozwadowski sprowadzili stado koni z Arabii. Co to była za uczta dla namiętnego wielbiciela koni!

Jest to czas gorączkowej, przygotowawczej pracy Kossaka. Zamówień ma mnóstwo, zapалу posiada dużo, fantazja odznacza się bujnością—świat się do artysty uśmiecha, do duszy zaś płynie ożywczy źródło spokoju, potrzebnego do zupełnej równowagi artystycznej. Kt by zdołał zliczyć te tysiące szkiców, rysunków, akwareli, które Kossak rozsyłał hojną ręką pomiędzy obywatelstwo galicyjskie? Z hr. Dzieduszyckim jedzie na wschód, gdzie widzi konia arabskiego we właściwym oświetleniu. U hr. Branickich poznaje stępy, kozaków, rozmaitość malowniczych typów i barw. W tym czasie wystawia w zakładzie Ossolińskich dużą akwarelę p. t. „Czwórka krakowska.“ Potem studjuje u Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce, jedzie następnie za namową Wł. hr. Branickiego do Petersburga, gdzie Maurycy Wolff zamawia u niego ilustracje do „Plejady poetów polskich.“ Natura pędzi artystę po nowe wrażenia: w r. 1852 zwiedza Wiedeń i Węgry; od r. 1853—1855 mieszka w Warszawie, tu się żeni z p. Zofią Gałęzińską z Gostyńskiego; znowu jedzie w świat—teraz na studia malarskie pod kierunkiem Horacego Verneeta w Paryżu. Studya te zajmują Kossakowi lat sześć; artysta wiele się tam nauczył, wiele wi-

dział, zdobył technikę już zupełnie wykończoną i wykształcił sobie smak. Tomkowicz mówi: „Wyjechał z kraju malarz niemal prowincjonalny, wraca—artysta o oglądzie i poglądach europejskich, o rozszerzonych horyzontach, o wydoskonalonem oku i ręce; zniknęła surowość jego konturów i kolorytu, rysunek stał się miękki i wykwinny, a barwy subtelne. Malarz polowań i koni nabrał gustu do malowania bitew, a przynajmniej epizodów wojennych, przejął się pewnym heroizmem, któremu uledeć musiał nawet ulubiony typ jego koni.“

W r. 1862 Juliusz Kossak osiadł w Warszawie i tu objął artystyczny kierunek „Tygodnika Ilustrowanego“, podnosząc odrazu wartość estetyczną pisma. Ilustrował tam: staropolskie legendy, opowieści, poezje i powieści; najlepiej odtworzał postacie Wincentego Pola.

Słusznie Tomkowicz zwraca uwagę na pokrewieństwo natur Kossaka i Pola. „Były to raczej dwie strony jednego i tego samego natchnienia, dwie połowy jednej istoty artystycznej. Jeszcze w r. 1839 Pol w rozprawie „O malarstwie“, utyskując nad tem, że malarstwo leży odlego w kraju, skreślił czynniki, z jakich w jego pojęciu, praca doskonałego malarza polskiego składać się winna. Pragnie on, aby swój talent oparł na znajomości przyrody ziemi ojczystej, ludu polskiego i rycersko-bohaterskiej przeszłości; — w ten sposób przeczuwa twórczość Juliusza Kossaka, choć nie wie, że idealny jego malarz żyje już i niebawem urzeczywistni to, o czym Pol marzył. Kossak zaś zaczął marzyć o Polu podczas pobytu w Paryżu, a gdy przybył do Monachium, zaczął malować „Mohorta.“

Okolo 1870 roku Juliusz Kossak wraz z rodziną przenosi się do Krakowa, gdzie też przemieszkiwał aż do śmierci. Dom w ogrodzie przy ulicy Zwierzynieckiej staje się jednym z najmiłszych ognisk towarzyskich, a zarazem jest rozrzucającem ogniskiem życia rodzinnego. Do-

rodny i piękny ojciec, istny typ upoetyzowany Jana III, matka piękna, wysoka brunetka, oboje w sile wieku, wykształceni, uprzejmi i łatwi w obejściu, pięcioro dzieci ładnych i zdrowych, a między nimi dwaj najstarsi bliźniacy, w jednym zaś z nich — Wojciechu — widoczne dziedzictwo talentu ojcowskiego — całe to grono na tle sielskiego dworku wśród drzew i kwiatów, otoczone licznymi przyjaciółmi i znajomymi, wesołe, swobodne, kochające się nawzajem — czyż to nie obrazek, wyjęty jakby z poematu?

I tu powstawały te dzieła: „Rewera Potocki,“ „Książę Józef,“ „Stado hetmana Tarnowskiego,“ „Marek Mateczyński,“ „Stadnina taurowska,“ „Stadnina na stepie podolskim,“ „Floryan Szary,“ „Czarniecki,“ „Elekcyja Jana Kazimierza,“ „Odwrót Bourbakiego,“ „Powozik babuni,“ „Wyjazd na łowy,“ „Targ na Kleparzu,“ i t. d. i t. d. Postacie ludzkie, występujące w obrazach Kossaka, noszą wybitne piętno zamaszystości, krwi, zapachu. Jego ułani, krakowiacy, szlachta, chłopci, starzy, młodzi, męż zyzni i dziewczęta, mają w sobie duszę, ciało z krwią rodzimą i mięsne hartowne.

Celuje mistrz również także w powoływanie do życia historycznych postaci. Tę umiejętność wyjątkową, wydobywania typowej prawdy, połączonej z efektem malarskim, on pierwszy do sztuki malarskiej wprowadził. Za jego przykładem poszli inni: Brandt, Grottger, Kowalski. Słusznie mówi Stanisław Witkiewicz: „Nie ma pewnie malarza, któryby naśladował manierę Kossaka, jak nie ma prawie między nami takiego, któryby nie pozostawał pod jego wpływem. Kossak budził talenty, otwierał drogi, a nigdy nie był hamulcem, narzucającym swoją manierę. Nie ma w nim nic szkolarstwa: jest to samodzielny, szczery i wielki talent.“

Kossak był najpopularniejszym ze wszystkich malarzy polskich, bo artysta potrafił za pomocą pędzla wywoływać wrażenia, które wszędzie znajdowały oddźwięk najsympatyczniejszy. Z największą lubością malował konia. W zwierzęciu tem u niego jest zawsze szlachetność i dystynkcyja. Fantazyę artysty łączyła z wyobrażeniem konia jakaś zażyłość serdeczna, jak dawniej rycerza łączyła zażyłość z rumakiem.

Konie Juliusza Kossaka żyją swoją indywidualnością, mają swój ruch i wyraz charakteru własny. Artysta z takim temperamentem musiał życie tętnąć w stworzone przez siebie zwierzęta.

Dobry, zacny, prawy, uczynny, zdobył sobie Kossak miłość wszystkich i szacunek powszechny. Kilkakrotnie w życiu doświadczył ludzkiego uznania i serdeczności. Przed dwudziestu laty Warszawa uczęcała mistrza obchodem czterdziestej rocznicy działalności Kossaka; przed dziesięciu akurat laty Kraków złożył wielkiemu artyście hołd z powodu 50-letniego jubileuszu. A kiedy dzielny pracownik na niwie sztuki, w sześćdziesiątym roku swych trudów, zszedł z obfitym plonem z pola — za jego trumną kroczył myślą cały ogół polski, który Juliusza Kossaka cenił wysoko i wielbił.

Spoczął na cmentarzu w Krakowie.

A. Dobrowolski

Rodzicielskie złudzenia.

(Dokończenie).

Szkodliwszymi jeszcze od złudzeń dotyczących zdrowia, omyłek higienicznych, które łatwiej jest naprawić, są złudzenia moralne rodziców, dające się podzielić na dwie grupy: błędne rozumienia charakteru dziecka i nietrafnego poglądu na jego zdolności. Przedewszystkiem, nie mogą sobie wychowawcy wyobrażać, że znają dokładnie, do gruntu, jak to twierdzą, duszę

dziecka, bo jest to wprost niemożliwe. Mogą znać bardzo dobrze, przeczuwać ogromnie wiele, ale do tajników tego niewidzialnego świata nie dotrze nikt. Tem ostrożniej zatem postępować należy z zagadką takiej rozwijającej się duszy, aby jak najlepiej ją poznać, a jak najmniej dać jej uczuć, że się ją bez ustanku analizuje, bo dusza dziecka nieśmiała jest jak ptak i gdy czuje że wciąż na nią patrzą i wciąż ją nakręcają i nastawiają, cofa się w siebie i stula listki jak mimoza. Są uczucia, skłonności, stany przejściowe w sercach bardzo młodych, których wychowawcy ani się jeszcze nie domyślają, są walki już prowadzone na dnie zaledwie rozbudzonej świadomości, których ani echo nie przedostanie się na zewnątrz, są myśli i wzruszenia nurtujące umysł, objawiające się chwilowymi usposobieniami, braniami za co innego —

„Z drżenia ziemi czyż ludzie głab nurtów docieka? Gdzie pędzi czy się domyśla!“

W takiej duszy dziesięcio, czternastoletniej, odbywają się już przełomy, ścierają się wielkie wrażenia, przelatują już ludzkie burze, „wszystkie tu żywiły chęci są w wojnie,“ a słońce młodości jeszcze daleko, dojrzałość dopiero nadejdzie i kiedyś przetopi te elementy, które w dziecku już nurtują i krążą jako zasób jego psychiczny. W tym okresie, sądzić dziecko, trzeba bardzo ostrożnie, bo cała powierzchnia jego duszy jest jeszcze złożona z samych pozorów i prawdopodobieństw i nie wiemy co przeważa. A jednak spotykamy się z doraźnymi sądami rodziców, nauczycieli, pedagogów: to dziecko kłamie, to dziecko nie ma pamięci, tamto ma złe serce, albo na odwrót — ów chłopak ma wielki rozum, ta dziewczyna ma szalone zdolności, tamta ma zmysł praktyczny etc. Naturalnie, że każde dziecko ma coś swego wybitnego, ale z określeniem tego przymiotu lub wady trzeba być ostrożnym, bo droga orientowania się w tak młodym umyśle jest szlakiem złudzeń.

Dziecko kłamie? Kto wie, może to tylko ogromna wyobraźnia maluje mu wszystko w dodatkowych barwach? może to dziecinne gadulstwo snuje szeregi słów bez intencji nieprawdy, a może, co zresztą bywa, jest to chwilowa faza jakiejś mgły, przez którą dziecko przechodzi, jakiejś bojaźni i fantazyi, która mnoży, przeistacza i przemienia prawdę.

— Proszę pani — mówiła raz do mnie szesnastoletnia panienka — jak miałam lat dziesięć, to tak kłamałam, że aż się sama dziwiłam temu. O co mnie zapytano, to mówiłam inaczej niż było. Gniewano się na mnie, nie nie pomogło...

— Dla czegoż kłamała? czy bałaś się kary, czy miałaś powód jaki?

— Nie; na przykład spytano mnie o pogodę, było ładnie, a ja mówiłam że deszcz; zapytano która godzina, a ja odpowiadałam ze złością inną godzinę niż była!

— I długo to trwało?

— Z pół roku. I samo minęło. Tak mi w końcu obrzydło i znudziło się, że przestałam i znów mówiłam prawdę jak dawniej.

— Jakże myślisz, co to mogło być?

Dziewczynka się namysliła i rzekła z przekonaniem:

— Pokusa.

Nie można było trafniej określić tego stanu. Tak, to nie było złe wrodzone, to była fala złego, która przepłynęła przez duszę czystą i prawą, a nazywać to dziecko, zaplątane w przejściowych fałszach — kłamcą, byłoby wprost popełnić właśnie nieprawdę. Nigdy nie powinni wychowawcy nazywać dziecka określeniem czegoś bardzo złego, bo jeśli są czegoś objawy, to nie znaczy, aby już złe było gruntem charakteru. Jak nie mówimy do dziecka gdy zakaszle: a ty suchotniku! tak też gdy mu się zdarzy uczynić coś złego, nie można mu wprost w oczy rzucić: a ty kłamco, ty bez serca i t. d., jak się to często dzieje. W takiej istocie małej nie ma jeszcze nic stałego, i dopiero wtedy, gdy złe zagnieździć by się miało, przystąpić należy do walki z niem, ale zawsze do walki wspólnej z samym winowajcą, jemu zostawiając i jego zachęcając do zasługi zwycięstwa. Poprawiać się ono powinno nie z musu, lecz z przekonania.

— Nie ma pamięci! — troszcza się rodzice. Może to być, ale i to być może, że wyobraźnia danego dziecka jest zaniedbana, wyobraźnia, ta świetna pomocnica w nauce, ta towarzysza w pracy, ta bliźnia siostra pamięci. „Zakute dziecko“ może się męczyć pod naciskiem złej metody uczenia go wszystkiego wprost na pamięć, metody, która jest egoizmem nauczycieli szkolnych i cudzoziemek po domach prywatnych.

— Jakie te książki głupie! — krzyczał chłopak dwunastoletni i ciskał nimi po stole, — nie nie rozumiem! w głowę iść nie chce! nie nie pamiętam!

Biedactwo uczyło się kilku przedmiotów po francuzku, kuło wyraz po wyrazie, a nawet po polsku nie umiało wytłumaczyć, co znaczą owe wiadomości z geografii i historii, wyuczone wprost na pamięć. Nauczycielka jego wmówiła w rodziców, że chłopiec nie ma pamięci i widzieli sami, że zaciął się bez ustanku, od lekcji do lekcji nic nie wiedział a kuł godzinami. Łajano, pilnowano, musiał zatem siedzieć i głośno wbijać sobie w głowę zadane ustępy; niewiele co pomogło. Na szczęście dostał inną nauczycielkę, która go nauczyła: myśleć o lekcji, rozumieć ją i własnymi opowiedzieć słowami, i jakiś cud się stał, bo chłopczyk z ochotą zabrał się do pracy i te same książki nie były już „takie głupie“ jak przedtem. Pamięć to wielka siła, ale ją wydobyć trzeba jak każdą inną przez — ruch i wprawę logiczną.

Ten chłopak ma rozum! — nie, on ma bardzo rozwinięty instynkt zachowawczy, ma skłonności egoistyczne, ma przebiegłość, więc zawsze obmyśli co będzie dobrem dla niego, ale tylko dla niego! Czy ten „rozum“ ma on i dla swego rodzeństwa? nie, więc to nie rozum, ale spryt, i tego sprytu bardzo rodzice pilnować powinni, bo on prowadzi daleko, a czasem i nisko.

Dziewczynka ma szalone „zdolności“, „prawi jak z książki, wie wszystko i z śmiałością twierdzi o każdej rzeczy. Gdzie tam! ona blaguje, jest wymowna i dość przytomna, w głowie ma tużman lotnych wiadomości, ale żadnego ubitego gościńca istotnej wiedzy; czytała, ale się nie uczyła, dotknęła wszystkiego, ale o niczem nie przekona, skacze jak konik polny tu i tam, ale w ścisłej rozmowie umilkłaby zupełnie. To nie są zdolności, to błyskotliwość płytkiej wody, która pod działaniem słońca wyschłaby zupełnie.

Jeżeli się niesprawiedliwie posądza dziecko o coś, czego ono nie popełniło, lub czem ono nie jest, to mu się dzieje wielka krzywda, największa, bo dziecko ogromnie wierzy w słowa starszych i po bezwzględny ich sądzić zaczyna nie ufając sobie, zaczyna tracić pewność siebie, zatrzymuje się w rozwoju swojego — ja, chwije się wewnątrz. Jeśli zaś przypisujemy dziecku przymioty, jakich ono nie ma, a samo dobrze czuje że nie, to też wchodzi na fałszywą drogę wewnętrzną, nabiera zuchwalstwa i rozumienia o sobie i czuje zbyt łatwą drogę zostania czemś niepospolitym. Przytoceż tu tylko dwa przykłady złudzeń co do charakteru i zdolności dzieci. Rodzice mieli kilkoro dzieci, wychowywali je zupełnie dobrze, każde poszło swoją drogą i mogło z czasem rodzicom z ulgą przychodzić. Najmłodszy syn źle się uczył, źle prowadził i ciężkie z nim były przejścia. Bez zdolności, jakie mieli starsi bracia, nie mógł przechodzić szkół trudnych i nauk ścisłych, ale rodzice chcieli żeby szedł tą samą drogą i „kształcił się wyżej.“ Po co? kiedy nie miał po temu zasobów umysłu. No, ale chcieli. Sympali pieniądze, pracowali na jednego tak jak na kilku, czynili ofiary różne, gryźli się niepowodzeniem chłopca, wreszcie z wielkim nakładem starań różnolitych ukończył szkoły średnie. Tutaj trzeba było mieć trzeźwy sąd, obrócić chłopaka do praktycznego zawodu, który daje chleb w rękę i czyni z mężczyzny niezależnego człowieka; gdzie tam! oddano go do najtrudniejszego zakładu naukowego, gdzie koszt utrzymania i przyszła karyera bardzo daleka; znów na głowy rodziców zwały się długoletnie opłaty i nowe zgryzoty, bo gagatek uczył się lichy, na kursach przesiadywał po dwa lata i prowadził życie zupełnie wykolejonego pasożyta, do tego zamęczała go fizycznie nauka

wcale nie dla jego głowy stworzona. Ale i to przetrwali rodzice. Chłopak zaś niczem nie okazywał wdzięczności, zdawał się nie rozumieć co czynią dla niego, nie zdawał sobie sprawy z ofiar, z pracy, z zabiegów i siedział sobie wygodnie w kosztownym zakładzie, i jeszcze grymasił ze zdrowiem i nerwami! Po jakimś takim ukończeniu zakładu okazało się, że póki kierownicy w ręku go trzymali, to szło jakoś dalej, a gdy trzeba było wziąć się samodzielnie do pracy, ani rusz, nie umiał się zdobyć ani na samodzielność, ani na umiejętność, bo nie było ani charakteru, ani zdolności odpowiednich. I skończyło się na tem, że musiano go obrócić do praktycznego, prawie że mechanicznego zajęcia, byle przecie coś w końcu robił i zarabiał. Owe kosztowne spędzone lata pozostawiły tylko ślad zarozumiałości w usposobieniu i niezadowolnienie z obecnego stanu rzeczy, a w sercu i w kieszeni rodziców niczem nie zagojony zawód i szkoda. Łudzili się. Chcieli dobrze, a zrobili źle, bo nie obliczali się roztropnie z rzeczywistością, bo nie znali czy znać nie chcieli typu własnego dziecka.

W drugim wypadku stało się wprost przeciwnie. Dziewczyna miała zdolności do rysunku i do malarstwa; wszyscy kto się na tem znał, namawiali rodziców, aby się kształciła w tym kierunku, a będzie mogła zostać co najmniej bardzo zdolną nauczycielką rysunku, wyrobić sobie byt własny i niezależność, a kto wie, czy prawdziwy talent się nie rozwinię. Słuchać o tem nie chcieli. Gdzie tam na prowincyi kształcić się w malarstwie! O umieszczeniu jej w Warszawie dla studyów mówić nawet sobie nie dali, bo jak podrosła — „powinna“ była pójść za mąż. Tymczasem uczono ją grać, bo fortepian był w domu, a pensję skończyła w rodzinnym miasteczku. W dziewczynie jednak drzemała artystka. Rysowała sama, próbowała malować, znać było w jej szkicach piękny zarodek talentu, ale też bez żadnego kierunku, bez żadnego obrobienia i techniki. Mijały lata, „powinność“ pójścia za mąż nie wcielała się w rzeczywistość ku wielkiemu umartwieniu rodziców, nie mających żadnej fortuny dla zabezpieczenia dziecka na przyszłość, a wychowujących panienkę w zupełnej wygodzie, na jaką dobra posada ojca pozwalała. Panią gospodarkę z matką na małym gospodarstwie prowincjonalnym, brzdąkała na fortepianie nieźle, marzyła o sztuce, niedostępnej dla niej, nudziła się, marudniała, odrzucała parę partyj „porządnych“, i pośpiewała coraz więcej w fatalnym swem rozminięciu się z właściwą pracą. Po śmierci ojca, fundusz został wystarczający jedynie dla staruszki już matki, a córka też już bez młodości, stanęła bezbronna i bezradna w obec szerokiego świata, w który musiała się rzucić już nie dla pracy, ale dla zarobku. I została retuszerką u miejscowego lichego fotografa, który dawno ją namawiał do roboty w swym zakładzie, poznawszy się od razu na talencie dziewczyny. I stała się z artystki — wyrobnicą, niewidzialną światu, źle płatą, i do tego pesymistką, patrzącą szaro na życie, ludzi i bolesny los, zatamowany w pomyłce, w złudzeniach rodzicielskich.

Niesłuchanie ważną jest rzeczą poznawanie się na typie dziecka. Gdzie ich jest kilkoro, z pewnością każde jest inne, a przynajmniej parę jest wybitnie obdarzonych cechami indywidualnymi. Typ dziecka poznać, rozwinąć go, wydoskonalić, oczyścić ze złych naleciałości, skryzalizować, należy do wychowawców, którzy nie powinni w tem widzieć trudności dla siebie, że każde dziecko jest inne i niewolno im modelować całej gromadki na jeden sposób, byle łatwiej nią kierować. Pod względem zdrowia, dla wszystkich — jednakowo, pod względem ducha dla każdego — inaczej. Wtedy tylko wyosobni się charakter każdej jednostki, wydobędzie się wszystek jej zasób psychiczny i wystrzeli jasno droga jej przeznaczenia. Przez staranne wychowanie typu dziecka, łączącego w sobie jego przyrodzone zdolności, uczucia, talent, przeznaczenie do zawodu, przygotowuje się społeczeństwu prawidłowego człowieka, zadowolonego z siebie pracownika, pożytecznego działacza i szcze-

śliwą jednostkę, pomnażając tym sposobem ogólny stan spokoju ludzkiego i materyalnego dobrobytu. Nie bowiem tak nie szarpie spokoju ludzi, jak ich rozmiękanie się z istotnem posłannictwem i nie tak nie podkopuje rodzinnego stanu finansowego, jak pomyłki w wyborze pracy jej członków. Złudzenia są tutaj coraz bolesniejsze, bo walczy np. ojciec z dojrzałym już synem, matka z dorastającą córką, rodzice z dziećmi, o różnice poglądów, mających wpływ na dalsze życie młodego pokolenia. Różnice wieku, usposobień, potrzeb czasu, wprowadzają często w złudzenie rodziców co do szczęścia i stanowiska ich dzieci, stanowiska ich do świata i stanowiska do tychże rodziców. Świat idzie naprzód, więc bezwarunkowo wymagać od dzieci, aby szły znane mi tylko rodzicom drogami nie sposób, a niedoświadczona młodość choć własne swoje drogi czuje, ale jeszcze ich ani wyrozumować, ani obronić ich celowości nie jest w stanie. Trzeba więc, aby wychowawcy starali się nie starzeć, ale dojrzałością umysłów dobiegać dróg nowych i poznawać te szlaki, jakimi ich dzieci pójść mają. Stanowisko dzieci do rodziców naodwrot, stało się w ostatnich lat dziesiątkach, ogólnie biorąc, i u nas i za granicą, bardzo nieprawidłowe, nieraz zupełnie krzywe i zdrożne. Dzieci i młodzież, mianowicie młodzież, nie ma dość szacunku dla starszyny, staje się zarozumiałą do niezniesienia, poczytuje się za jakąś ludzką wyższą rzeczą, której dawny świat nie rozumie, starszyna zaś całą chmurę swego pesymizmu, goryczy i rozwianych marzeń zwała na upadek moralny młodzieży i jej niewdzięczność, a w pośrodku stoi przepaść złudzeń, które niczem innem nie są, jeno przyrodoznem człowiekowi od wieków upieraniem się przy swoim ja, które się każdemu zdaje, że jest jedynie najlepsze i najtrafniejsze. Nie mamy tego złudzenia, że młode pokolenie będzie zawsze siedziało u naszych stóp na progu domu; ono musi iść w świat i nowe budować strzechy, inne niż nasze, ale może niemniej dobre, uczciwie wznoszone, i miłe i piękne; ale te młode zastępy, jeśli się nie poczują w obowiązku zawdzięczenia wszystkim czem są, temu staremu domowi, jeśli ściana jego podtrzymywać, ratować, ochraniać nie będą, jeśli na zdobywczych drogach zapomną wdzięczności dla rodziców i obowiązku wszechstronnego i ciągłego ich wspierania, to zgina w gorszych stokroć własnych złudzeniach i staną się w końcu — rodzicielskich złudzeń — nie warci! Gdybyż to wszędzie mogła być tylko — czysta, prosta prawda, — jakieżby łatwe były drogi człowieka i ludzkości.

Szczęсна.

POSTACIE NIEWIEŚCIE w poezjach L. Kondratowicza.

Studyum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Z kolei przechodzimy do „Urodzonego Jana Dęboroga.“ Niewieściami postacią w tym poemacie jest Zosia, córka wdowy po Brochwiczu, zamieszkałej o miedzę z Dęborogami. Młody Dęboróg po całych dniach polując z chartem i strzelbą w lasach i polu, nieraz krążył około dworku sąsiadów; ale między tym tajemniczym dworkiem a gruntami Dęborogów stoi kopiec mogilny prapradziada rotmistrza, a duch jego nieuspokojony dzieli tradycją odwiecznej waśni dwa sąsiedzkie dwory. Młodego jednak wszelka zagadka i tajemnica nęci ku sobie i wabi z siłą

podwójną: podszedłszy raz pewnego bliżej niż zazwyczaj, do domku Brochwiczów, uważniej począł młody Dęboróg mu się przypatrywać: dworek mały — lecz taki schludny i jakiś miły, tak dokoła niego wionie poczciwością, że trudno źle trzymać o jego mieszkańcach... Stara strzecha tak poważnie duma o czemś nad dworem, a do okna zagłada z uśmiechem stara topolowa gałąź. Dokoła ogród, a w ogrodzie „same kwiaty — same róże...“ Ciekawy młodzian zagłada przez częstokół — „aż tu hoża dziewa sadzi kwiaty i polewa, i piosenkę jakąś śpiewa...“ W tem otoczeniu róż i kwiatów piękną musiała się wydać Dęborogowi, a jej piosenka zapadła głęboko do młodzieńczego serca. Odtąd młody strzelec codziennie niemal zachodził z łowów do cichego dworku sąsiadów „na poziomki i na mleko.“ Matce nosi zwierzynę, a Zosi zagłada w oczka...

„Ej te oczka! — mówiąc krótko —
Poglądały tak słodziutko,
Tak miłuchno!...“

A w owem „słodziutkiem i miłuchnem spojrzeniu“ oczu dziewczęcych przebijało się już zapewne budzące ich uczucie. Więc niepostrzeżenie, zwolna przychodziła dziewczęciu chęćka „spojrzeć razem“ — następnie już „westchnąć razem“, „poszczebiotać „półwyrazem“ — uściśnąć mocno dłonie — razem wybieść gdzieś na ubocze, by bez świadków parę serdeczniejszych wyrazów zamienić ze sobą. Wogóle dzieje tej rodzącej się miłości w serduszkach dziewczęcem skreślone są przez poetę pobieżnie — w kilku wyrazach zaledwie — wdzięcznie wszakże i charakterystycznie.

Chociaż dość częste widzenia się, nie wystarczały już jednak młodym: dzień rozłąki skraca dziewczę pisaniami kartki, którą wkłada następnie dla niego „na tyczynę“, albo na brzezinie przed bramą zawiesza dlań wianek, jako „niespodziankę słodką;“ a nieraz i sama wybiegnie na spotkanie za bramę. Fraszki te i myśl o nim zapełnia jej dzień cały, a nocą tylko śni i marzy.

Jest to miłość cicha, niewinna, niemal święta, nawpół świadoma siebie, — „miłość szesnastoletniego serca...“ Miłość taka nie zna uniesień namiętnych i bezgranicznych pragnień — zadawała się byle czem: lada uśmiech żywszy, lada promień cieplejszy oczu i słówko wyszeptane w półcicha po nią i nasycę. Jeżeli poza tem pozostają jakie pragnienia — to leżą one wszystkie poza sferą realną — wszystkie w strefach anielskich: jakieś pragnienie wzlotów w krainę błękitną i cichą, jakieś zatapianie się i zatonięcie duszy w morzu słodczy bezbrzeżnej. Lecz miłość taka — jak kwiat, potrzebuje pogody i niezmaconych niebios — by wonieć; jak woda potrzebuje spokoju — by się zwierciadlić...

Lecz oto nad głową i nad sercami młodych zawisła burza, która miała zwać i zwichrzyć tę błękitną pogodę ich uczucia. Zosia — chcąc zdziwić matkę niespodziewanie — otwarcie wyznała przed nią swoją miłość. Matka odpowiedziała na to, że się nie dziwi uczuciu młodego serca, pragnie jednak uczucie to w rozwoju powstrzymać, może bowiem ono stać się przyczyną wielkiego bólu dla obojga: między ich rodami trwa spór odwieczny dotąd niezagłuszony, więc stary Dęboróg nigdy zapewne nie zezwoli na ich małżeństwo. Muszą więc się rozstać i nie widywać ze sobą młodzi, mogliby bowiem źli ludzie powiedzieć, że Brochwiczowie umyślnie łowią w sidła młodego ptaszka, aby w ten sposób wyłudzić od Dęborogów owo sporne pole za miedzą.

Te słowa matczyne powtarza swemu ukochanemu Zosia, wybiegłszy wieczorem na jego spotkanie; chociaż starała się wypowiedzieć je jasno i bez wzruszenia, w końcu jednak zawiodły ją siły, urywa mowę — „i z głośnym śmiechem zakryła oczy, bo z modrych oczu lzy się polały...“ Gdy jednak zrozpaczony młodzieniec wspomina coś o śmierci, mówiąc, że on nie przeżyje z nią rozłąki, dziewczyna zdobywa się na większą odę energii i moc charakteru i odpowiada mu żywo: „O! bardzo proszę, — to coś jak w książce... my chrześcijanie, ufać nam, ufać w Pańską opiekę!“

Grozi mu, że gdy będzie płakał, ona oden ucieknie.

„Śpieszę do matki, matka się gniewa,
A my tu marnie kwilim, jak dzieci—
Kto na kominek przyniesie drzewa?
Kto jej tak jasno ogień nanieci?
Kto ją beze mnie do snu ugada?
Ja kocham mamę, jak własną duszę...”

Pięknie maluje się w tych wyrazach miłość dziewczęcia i troskliwość jej ku matce. Kończy wreszcie temi słowy: „Dziś mi matka każe na wieki pożegnać pana sąsiada—i spełnić muszę...” To bezwarunkowe posłuszeństwo zakazowi wypływa bez wątpienia z głębokiej miłości, jaką ma dziewczę dla swej matki. Cóż jednak sił jej dodaje, że tak łatwo na pozór spełnia wolę matki, że zdobywa się mężnie od niego na te słowa pożegnania? Czyżby to dowodziło jej lekko-myślności, nie dość głębokiej miłości ku niemu? Bynajmniej;—zdobywa się na to pożegnanie tak mężnie, uważa je bowiem tylko za chwilową z nim rozłąkę; ona ma nadzieję i wierzy, że wkrótce ojciec jej ukochanego zezwoli na ich małżeństwo i sam przyjedzie prosić o jej rękę dla swego syna; nadzieja ta i pewność jest właśnie dowodem siły i głębokości jej uczucia; ona czuje, że miłość jej jest zanadto silna i wielka, aby stary Dębóróg mógł się jej przeciwieć i nie uległ w końcu. Żegna więc swego ukochanego słowami: „Bądź zdrow — nie traćmy dobrej nadziei!” i napół ze śmiechem, napół z płaczem znika w ciemnej alei.

Poeta nie wyprowadza więcej przed nami Zosi. Wiemy jednak z dalszych pieśni poematu, że nadzieja jej spełniła się, nie bez współudziału wprawdzie innych zewnętrznych okoliczności, jak np. ciężkiej choroby młodego Dębóroga i wstawiennictwa księdza definitywa, co skłoniło ojca do zezwolenia wreszcie na związek.

W charakterze Zosi, obok rysów wdzięcznych i lepszych, zawarunkowanych jej młodością, dostrzegamy cech głębszych duszy szlachetnej i prawej, na których mógł Dębóróg — jako na trwałym fundamencie — budować śmiało swoje przyszłe szczęście i pożyte rodzinne.

Postać dziewczyny wiejskiej widzimy w poemacie zatytułowanym: „Wielki czwartek.” Widzimy ją najpierw przy kratkach konfesjonu u spowiedzi, następnie płaczącą na mogile kochanka, zguby którego stała się przyczyną. Tam — na mogile ofiary swojej pustoty — z jej ust słyszymy opowieść dziejów ich miłości. Dziewczyna wyznaje, że nim go poznała, i ona była płochą, na wzór innych dziewcząt siola i lubiła żarty wioskowej młodzieży. On — przychodzień tu obcy w ich wiosce — był całkiem niepodobny do chłopców wiejskich; nie dzielił z nimi zabawy, był „odludek boży.” Lecz dziewczyna polubiła „jego rzewną postać, jego głos tęskny, jego twarz sierocą...” a on miał dziwną moc jakąś od Boga daną, że mógł spojrzeniem przeniknąć każdego aż do serca. Nieraz — gdy kto z gromady wesołej uczyni żart jaki albo pustotę — on tylko spojrzał — a wnet każdy płochego żartu przy nim się zawstydział... Ona sama też nieraz była tem jego spojrzeniem zawstydzoną, ilekroć razy nie strzegąc siebie ściśle powie coś, czego nie pomyśli... „ale na niego popatrzawszy trocha, poczułam jakoś, co mi się należy...” Wpływowi temu poddawała się jednak dziewczyna chętnie i bez oporu; widząc go często samotnym w tłumie, ona w jego oczy poglądała rada — i zawsze bywało sercem zrozumieć i odgadnąć to, o czem on myśli lub o czem zagada. A nieraz i on bywało odgadnąć jej myśli — że aż ją trwoga brała dziwna. Czy go już kochała?... Ona sama tego nie wiedziała i odpowiedzieć na to nie potrafi... To jedno tylko pomni, że „było z nią czem dalej, tem gorzej; gdy go nie widzi — już dni nieprzytomne, już sny bezładne — nawet żyć nie-miło...” Był nad rzeczką, pod wierzbą schyloną stary kamień — tam lubił on siadać o wieczornej porze wracając z roboty, lubił spoglądać na zielone łąki, na niebo i lasy... może składał wówczas te śliczne piosenki, które później śpiewał... Jakoś wypadało i jej zawsze pod wieczór cho-

dzić w tamtą stronę: to owiec zbłąka się gromada, to matka posyła ją do sąsiadów tamtędy, to stary dziadek, przypomniawszy sobie przy wieczerzy o zapomnianej wędze, posle ją po nią nad rzekę — musi więc dziewczyna — rada czy nie rada — śpieszyć w tamtą stronę, a tam na kamieniu zastaje już Szymona, który pozdrowi ją i rozmawiać pocznie... Czy go kochała?... Alboż ona sama wie?... Bo to kochanie różne bywa przecie: nieraz — gdy parobczakowi chce się wyjść na gospodarza, a dziewczynie sprzykrzy się łajanie macochy, więc on ją bierze za żonę, aby wziąć półwłócz gruntu we dworze, pobudować chatę, kochać się i mieć nadzieję, że Bóg z czasem „wyprowadzi ich na ludzi.” Lecz dla niej

... z Szymonem nie takim obrazem Stawała przyszłość we szczęście bogata: Byłe ogródek, rozwalona chata, Lecz będziemy razem — zawsze z sobą razem....

Kreśląc przed nią obraz ich cichego, wspólnego pożywania, zaklinał ją Szymon, by mu wyznała najszczerzej, czy kocha go rzeczywiście?... Bo gdyby — broń Boże! ona „swe płochę myśli puściła kiedy za drugimi” — to biada wówczas ich doli!... całe wówczas jego szczęście pękłoby na zawsze... Te słowa wymawiał Szymon ze łzami, a ona ukłękła przed nim i mówiła: „Niech Bóg nie pozwoli, by serca nasze w jakiegokolwiek dobie miały się zmienić, ostygnąć ku sobie!...” Przysięgła więc przed nim, lecz serce dziwnie jej jakoś drżało „czy to ze szczęścia, czy może z obawy,” a gdy wbiegła do chaty, to tak była blada, że aż dostrzegł tego wpół oślepy dziadstarzec.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

VII.

Dzień Ś-tej Brygitty.

W dniu tym miał i pan Hipolit do Hajczyniec wyruszyć.

Choć gospodarstwo szło porządnie, choć wszystko własnem okiem obejrzał, nie pomijając i Piasków a na dzień następny rozporządzenia dotyczące robocizny były wydane, zwlekał jednak, marudził, wciąż patrzył to na zegarek, to na słonce, jakby chciał, ażeby już zaszło, a może, by opóźniło chód swój.

Pan Hipolit nie lękał się powrotnej fali uczucia — o to zupełnie był spokojny, lecz przeczuwał, że nie obejdzie się bez delikatnego potrącenia o dawne wspomnienia, zdawało się mu nawet, że słyszy stłumione westchnienie piersi panny Matyldy a pan Ryba porusza głową znacząco, jakby mówił:

— Widzisz!...

Najprzykrzejszem byłoby spotkanie się z panną Rybiną. Pamięta jej wystąpienie nietaktowne, gdy raz zasłyszawszy czulsze słowa, z którymi zwrócił się do panny. Było to coś w rodzaju uwagi o niestosowności szeptań, później zaś, pod jakimś pozorem Matyldzie wyjść kazała, a pozostawszy sama z Hipolitem lekko ziewać zaczęła.

Ta pani, gdy spostrzeże, że raz zerwana nitka nawiązywać się nie daje, rzecz całą od razu na ostrzu noża postawi. Nie rozczuli to zbyt

pana Hipolita, nie zmiesza nawet, lecz znów nastąpi przykre zerwanie stosunków. Do pana Ryby pretensyi nie miał — on był mu zawsze życzliwy. Jeżeli pokręcił nosem, czynił to więcej pod naciskiem żony, niż z własnej woli; nawet żalu do pani Rybiny nie czuł, lecz panna Matylda bardzo dwuznaczną odegrała rolę. Zrazu była tylko przychylna, później mówiła o sercu swoim, spragnionem uczuć tkliwych. Z młodzieży, odwiedzającej wówczas dwór Hajczyniecki, pan Hipolit stanowczo był przez nią wyróżniany. Podczas spacerów, odbywanych wlicznem towarzystwie, wybierała go za towarzysza przechadzki, idąc, zwalniała kroku, prosiła, by jej zerwał kwiat maku, zatrzymywała się, znęcona piękną barwą wychylającego się ze zbóż bławatka. Goście znikali na zakręcie drogi lub w cieniach leśnych, a ona wtedy pełną oddychała piersią, śmiejąc na jego opierała się ramieniu, śmiejąc mu w oczy patrzyła, jakby tem oparciem się i tem spojrzeniem chciała przyspieszyć chwilę wyznań. Lecz nagle wieść gruchnęła, że pan Hipolit jeden i drugi dług na swoje nieurodzajne Górki i Piaski zaciągnął; że sprzedał nawet klejnoty po ojcu otrzymane, pozbył się koni cugowych, z wyjątkiem zaprzęgu pani Karoliny; że już na stole jego nie pojawiają się inne potrawy, jak te, którymi karmi się czeladź. Był to wstęp, jak mniemano, do bankructwa, a nie spodziewał się nikt, że miało to być tytułową kartą wielkiej powieści, w której tryumf odnoszą: praca i wytrwałość.

Pan Hipolit nie słyszał tych głosów i wybrał się do Hajczyniec, jak zawsze, pełen dobrych myśli, tylko z coraz bardziej niespokojnie bijącym sercem, — lecz go odrazu owionęła mroźna jakaś atmosfera. Pan Ryba pozostał dość uprzejmy, lecz nietaktowny wyskok pani Rybiny zmieszał niezmiernie przybyłego, chłód zaś panny Matyldy wymownym był aż nadto dowodem, że już zbyt późno w Hajczyniach był gościem. Zaczął więc bywać coraz rzadziej — atmosfera nie zmieniała się. Po dwóch latach, gdy już wizyty na miesiące się liczyły — usunął się zupełnie.

Aż oto olbrzymie lany dziedzictwa jego zachwiał się, jak fale morza, bujnemi pszenicznymi kłosami. Wypoczęta i odżywiona ziemia wynagrodziła trud iście macierzyński, podjęty dla niej. Kilka urodzajów lat ostatnich zdziwiło panów sąsiadów, przyzwyczajonych do widoku pól pustych Górek i Piasków, w tem wieść pobiegła: „Grudowski długi płaci, a wierzyiele zniżają procenta, byleby ich pieniądze pan na Górkach i Piaskach zatrzymać chciał nadal u siebie.” Lecz pan Hipolit wyznaczył termin wypłaty, ustępstw nie przyjął i ani razu zobowiązaniu się nie sprzeniewierzył.

— Teraz, mości dobrodzieju, — mówił pan Kacper Tołpiskiewicz, — będzie dusił kapitały. Pracował, bo pracował — ale żelazny człek, mości dobrodzieju!

— A ja zawsze, tego uważasz, mówiłem, — szepnął na ucho przyjacielowi pan Ryba: — „Brygittko — z sensem tylko!” Lecz zrób co z piorunem... Bum — trzasnął!... i więcej hałasu niż rzeczył...

— Mnie, mości dobrodzieju, żona głowy nie zawraca — zna huk!... Raz rozbeczała się czegoś i w lament — a ja nie!... Zaczęła spazmować — milczę. „Do rozwodu się podam!” a ja: „Wolno!” i sza! Tak i ty, mości dobrodzieju, postąp — —

— Zgodzi się! — mruknął pan Ryba.

Dzień Św. Brygitty był w Hajczyniach obchodzony uroczysto, o czem wiedział pan Hipolit. Ciągnęły powozy, bryki i koczobryki do gościnnego domu pana Ryby, który lubił wystąpić, a że mógł — występował zawsze okazale.

Dwór Hajczyniecki „pałacem” powszechnie zwany, bo niewiadomo z jakiej racji dwupiętrowy z boku miał wieżyczkę — leżał, wraz z parkiem, w kotlinie, otoczony zewsząd mokreymi łąkami i torfiskami. Stawów było kilka, lecz dla braku odpowiedniego wód spadku, nigdzie młyn postawić nie było można. Sterczące tu i tam pale, rozpadające się grobelki, mówiły o próbach

nieudanych—żywiol wodny musiała więc para zastąpić i—zamiast miłego klekotu kół młynskich, szmeru spadającej i w tęczę rozpryskującej się fali—musiała uszko panny Matyldy, coraz bardziej do tęsknych marzeń skłonnej, słuchać przykrego huku amerykańskiej maszyny.

Panna Matylka tęskniła do młyna. Młyn stał się wprost dziś manją trzydziestoletniej panny. Jadąc z rodzicami, gdy tylko zobaczyła ulubiony swój przedmiot, kazała woźnicy wstrzymać konie, wyskakiwała z powozu i biegła w dół, by usiąść naprzeciw kół młynskich, wzrok zanurzyć w kotłującą się głębinę i napać słuch szelestem fali, w srebrne rozsypującej się bryzgi. Czasem pan Ryba śpieszył w odwiedzinach do sąsiada lub na Mszę Świętą do kościoła—zawiadomiony sąsiad o wizycie niecierpliwiał się, ksiądz ze Mszą czekał na kolatora a tu panny Matyldy nie można było z pod młyna wyciągnąć. Nieraz sam pan Bonawentura schodził do niej musiał i niemal siłą do powozu wsadzał. Lecz po półgodzinnej jeździe znowu stuknęło koło powozu o mostek jakiś, a miły szum doleciał do ucha panny Rybianki.

— Ach—młyn, młyn! — wołała wnet panna Matylka.

— Ale—tego uważasz—to fiksacya!—mrucał poirytowany ojciec.

Nie było jednak rady—panna dostawała rumieńców i objawiała chęć wyskoczenia z powozu.

— Ta już stój! — wrzeszczał pan Ryba na woźnicę.

Matylka czyniła zadość swojej chrochliwej fantazyi, a pan Ryba, wzruszając ramionami, niespokojnym okiem na żonę patrzył.

— Jeżeli Matyldka roku tego za męża nie wyjdzie—to odesłamy ją chyba, tego uważasz—do Jana Bożego.

Pani Brygitta półgębkiem o Hipolicie wspomniała.

— Sałata po obiedzie, — mruknął pan Bonawentura.

O rękę panny Matyldy nie tylko Grudowski się starał, był czas, gdy młodzież ubiegała się o jej względy. Wiedzieli wszyscy w okolicy, że okrągła sumka czterdziestu tysięcy rubli na imię panny Rybianki, od dnia dojścia do jej pełnoletności, nienaruszona w procentowych leżała papierach. Rok rocznie kapitał się nawet zwiększał, bo z procentu zawsze coś się odłożyło.

Panna Matylka o lat dziesięć z okładem wyprzedziła najstarszego z braci, który właśnie w tym roku, otrzymawszy maturę, przeszedł na kursa uniwersyteckie. Trzech młodszych łamało jeszcze sobie głowę nad łaciną i greczyzną. Jako jedynaczka, Matylka była pieściuchą rodziców, pani Rybina zaś, *de domo Bajdałowska*, myślała zawsze o jaknajświetniejszej partyi dla córki. Zrazu marzono o panu Henryku Grudowskim, ale ten jeszcze wyżej strzelał—rozglądano się więc na wszystkie strony, nic a nic nie spuszczając z wysoko nastrojonej nuty. Ten i ów podsunął się do pani, schlebiać mamusi musiał—lecz ani ten ani ów nie odpowiadał wygórowanym marzeniom panny i pani. Kosze szły za kosztami a lata za latami biegły. Po odsadzeniu pana Hipolita zjawił się jakiś paniczek wynędzniały z monokłem w oku i marnym tytułikiem hrabiowskim, ale tu już pan Ryba: „Śledź wymoczony!” sarknął—i gdy pan hrabia wspomniał, od niechcenia niby, o zamiarach swoich: „Nie dla psa kiełbasa” mruknął pan Bonawentura, a głośno: „Ładna pogoda — rzekł—może hrabia przejdzie się.” Tymczasem chłodno było i wietrzno a deszcz kropłisty padał. Pan hrabia propozycję spaceru wziął za aluzję do rozgorączkowanego swojego stanu, wymagającego orzeźwienia się na chłodzie i deszczu.

Był to ostatni już konkurent panny Matyldy.

Od tej chwili upłynęło lat cztery—panna Matylka zmieniła się do niepoznania. Dawniej dość wiotką była, teraz kształty zaczęły się wypełniać, zaokrąglać, chód stawał się ociężały, kaczkowaty trochę; śliczny zawsze podbródek uwypuklił się, łącząc się półkolisto, miękkim wygięciem fali, ze wspaniałą kolumną szyi. Jeżeli dawniej była miłą panną, teraz stała się—

ponętą. Wiało od niej jakieś ciepło rozkoszne, coś bardzo ziemskiego, lecz zarazem upajającego dziwnie. Gdy na balu obnażone pokaże ramiona i ręce, jakby wypieszczone przez dłuto rzeźbiarza, z dołkami w zgięciach—mimo woli wzrok ślizga się po tych ożywionych ramionach, to ten, to ów rąbek koronki chciałoby się usunąć i tak usuwać bez końca. Ciekawość jest grzechem, nikt jednak tego grzechu przy dzisiejszej pannie Matyldzie uniknąć nie mógł. Mimo to kończyło się wszystko na tym występku chwilowego pożądania.

Dawniej łagodna, teraz panna Matylka rozdrażniona się zdawała; nie doprowadzało to jej nigdy do wybuchu, lecz bądź co bądź, humor skwaszony panny źle oddziaływał na obecnych. Przychodziły też na nią chwile zachcianek dziwnych i upodobań, jakich dawniej nie miała. Razu pewnego zaczęła zbierać pudełka od zapalek, później tworzyć kolekcję marek pocztowych. Każdy list natychmiast z tego znaku był odarty, szperała po biurku ojcowskiem, nieraz wzrok baczny na śmietnik rzuciła. Nagle uczuła wielką miłość dla dzieci, na które dawniej obojętnym patrzyła okiem. Nie mogła przejść przez wieś, by jakiegoś umurzanego dzieciaka nie ucałowała a im które brudniejsze było, tem tkliwszych od niej doznawało pieczęci. Lecz i to upodobanie minęło—miejsce jego zajęło inne. Nareszcie zakochała się w młynie.

— Tego uważasz, — szeptał pan Ryba do żony,—zapalki, dzieci smarkate, młyn teraz...

Naprawdę się zaniepokoił. Wspomniany przez żonę pan Hipolit ówiekiem mu siadł we łbie, lecz czuł, że głupio by wyglądał, gdyby ni ztąd ni zowąd wybrał się z wizytą do Górki. Czekał okazyi i ta mu się nadarzyła.

Pełno i gwarno było w salonach hajczyńckiego pałacu. Wszyscy znajomi dobrze, z bliższych i dalszych okolic, zjawili się na oznaczoną godzinę, pan Bonawentura głośnie miłował przybyłych, pani Brygitta rozplątywała się w grzecznościach. Około godziny dziesiątej jednak, baczny spozstrzegacz mógłby dojrzeć roztargnienie pewne w gospodarzu domu, pani Rybina zaś coraz bardziej niespokojna się stawała. Przy lada szmerze większym, przy lada głośniejszym gwarze rozmowy u drzwi wchodowych—pan Ryba stawał na palcach i brwi do góry podnosił a solenizantka szukała oczyma Matyldy.

Zegar w jadalnym pokoju wydzwonił w pół do jedenastej—pan Ryba ostatecznie stracił humor. Wąs lewy pochylił się ku dołowi, podczas gdy prawy sterczał ostro do góry, kręcony niecierpliwymi palcami gospodarza domu.

— Czy jeszcze, mości dobrodzieju oczekujesz kogo?—zapytał Tołpiskiewicz, podchodząc do pana Ryby.

Pan Bonawentura bąknął:

— Nie—tego uważasz—nie... z kądby?... Sił przecie wszyscy—tego uważasz...

— Cała gubernja, mości dobrodzieju, zjechała się do Hajczyńca, — mówił Tołpiskiewicz. — U Dziapatałowiczów nawet niema nigdy takiego zgromadzenia, jakie u ciebie bywa w dzień Św. Brygitty, mości dobrodzieju. Przeszedłem wszystkie salony, mości dobrodzieju, i gości twoich na palcach, mości dobrodzieju, policzyłem. Mężczyzn stu a kobiet sto i jedna, jak lodu, mości dobrodzieju. Więcej nawet zebrało się dzisiaj, hurtem wzięwszy, niż łódzkiego roku, mości dobrodzieju! Cała gubernja, mości dobrodzieju, powiadam. Brakuje, mości dobrodzieju, poezji tylko Jasia Gaduły, ale nie mógł przyjechać, bo umarł. Cedziński także nie przybył, lecz dotąd jeszcze na swoją wątrobę w Karlsbadzie siedzi; Baczyński zamknął się u siebie w Woronczy, a Henryk Grudowski, mości dobrodzieju, do Lwowa z matką wyjechał, dziś właśnie, jak o tem mi mówił spotkany na drodze Czubiński, mości dobrodzieju...

— Do Lwowa?—zapytał Ryba.

— Nie wiesz o tem, mości dobrodzieju?

— Nic a nic nie słyszałem—tego uważasz—

— Żeni się przecie, mości dobrodzieju.

— Kto—tego uważasz—z kim?

— Henryk, mości dobrodzieju, z Teofilą Krurowską. Ma to być partya, mości dobrodzieju, jak to mówią: nie aby col Ród, bo ród, mości dobrodzieju, dwakroć mości dobrodzieju na stół, kolligacya z książętami, mości dobrodzieju, panna Teofila, samo przez się, mości dobrodzieju, to kąsek ma być—ha! mości dobrodzieju!

— To wszystko dobre, tego uważasz, co mówisz,—rzekł pan Ryba. — Tylko zróbmy układ pomiędzy sobą: ty—tego uważasz—rozwijając, a ja będę mówił: mości dobrodzieju.

— Zgoda, tylko pod jednym warunkiem,—odparł Tołpiskiewicz. — Gdy kolej opowiadania, mości dobrodzieju, na ciebie przyjdzie, to ty mów, mości dobrodzieju, a ja będę dodawał: tego uważasz.

— No, no, no, — zaśmiał się pan Ryba,—ja, tego uważasz—rzadko...

— A ja prawie nigdy, mości dobrodzieju! — podchwycił Tołpiskiewicz.

W tem głośnie: haaa! haaa! dało się słyszeć przy drzwiach. Kilkanaście par rąk męskich wysunęło się naprzód, jakby przygotowanych do powitań nieoczekiwanego gościa. Pan Ryba brwi podniósł, stanął na palcach—nagle, wąż lewy pokręcając do góry, zbliżył się szybko do żony i rzucił jej w ucho:

— Grudowski!

Pani Rybina podbiegła do Matyldy.

— Pan Hipolit!—szepnęła.

Matylka poruszyła się lekko a lewa jej rączka skierowała się w okolicę serca.

Nie prędko gwar ucichł—gość nowy był serdecznie przez współpowietników witany. Wśród ogólnego szmeru, pomruku i szelestu sukien kobiecych padały wyraźniejsze głosy i okrzyki charakterystyczne.

— Oczom swoim nie wierzę, mości dobrodzieju, — wrzeszczał Tołpiskiewicz. — Hipek! Hipek!... jak Boga kocham on sam, mości dobrodzieju... Daj pyska!

I mlask-plask rozeszło się po salonie.

— Pan Hipolit... a—a—a! — wołał elegancki Kocio i odsadzając łokieć od boku witał i ścisł przybyłego.

— A już zwątpilem — tego uważasz, — wołał Ryba. — Dziesiąta—nie ma! jedenasta—nie ma!... A tak radbym ciebie uściśkać.

— Aha! — mruknął Rokicki, uśmiechając się złośliwie.

Pan Hipolit nie spodziewał się tak serdecznego przyjęcia.

— No chodź do żony, tego uważasz. Nie mówiłem jej nic o twojem przybyciu, zobaczysz jak rada będzie!

— Pan jednak do mnie pisał.

— Przełgałem się — przerwał, czerwieniejąc nieco pan Ryba—ale koń ma cztery nogi i utyka. No—chodź — tego uważasz... Zobaczysz jak rada będzie!

— Zażenuj się, Matylko! prozę cię, proszę cię!—prosiła matka, gdy wzrok jej spozstrzegł idącego.

Pan Hipolit we fraku i białym krawacie, prowadzony pod rękę przez gospodarza domu, szedł krokiem powolnym, lekkim uchyleniem głowy rozdając ukłony pięknemu gronu pań, które, barwnym wieńcem otaczając salę, ciekawie przypatrywały się, dawniej, dziwakowi, później człowiekowi żelaznej pracy, teraz panu na złotodajnych Górkach i Piaskach.

— Ach, gdybyś zarumienić się mogła! — szeptała pani Rybina, ściskając Matyldę coraz mocniej za rękę.

Pan Hipolit był już tylko o kroków kilka od nich.

— Zawstydz się!... pomyśl o czem chcesz, tylko się zawstydz!—błagała pani Brygitta.

Grudowski stanął przed niemi.

— Aa—sąsiad!—z lekkim odcieniem wyrzutu odezwała się pani domu.

— Zawsze ten sam—życzliwy, spokojny i dziś, w dniu imienin pani składający jak najszczęśliwsze życzenia.

To mówiąc, pocałował podaną rękę.

— Tyle lat!—mówiła pani Rybina. — Doprawdy, że gniewać się można, gdyby nie przekonanie, że grzech wszelki odpokutować da się.

Myśleliśmy o panu, choć niespodziewaliśmy się dziś pana — Matyldo — pan Hipolit! — zwróciła się do córki. — Przypominasz?

— Mogła-żem zapomnieć? — odpowiedziała panna Matylda, blade-błękitne oczy podnosząc na Grudowskiego i szkarłatnym oblewając się rumieńcem, że o mało pani Rybina nie wykrzyknęła: „Brawo, Matyldko!“ — Sądzę, że i pan — mówiła dalej — jest lepszego mniemania o mnie. Prawda, panie Hipolicie?

— Nie jesteśmy panami pamięci —

— Lecz czasami królami jej być możemy, — podchwyciła panna.

Wyciągnęła piękną, o aksamitnem dotknięciu rączkę, uściśnęła mocno dłoń Hipolita i — nie puszczać jej ze swej dłoni, która zaczęła drżeć lekko, szepnęła jak echo:

— Tyle lat!

— Dwadzieścia cztery miesiące tylko, — odrzekł swobodnie Grudowski, — które mi zresztą tak szybko przeszły jak dzień jeden.

— A dla mnie były one tak długie, jak wieków dwadzieścia cztery, — szeptem prawie odpowiedziała Matylda.

— Bravissimo! — zawołała w duchu pani Rybina, a widząc, że Matylda już bez niej da sobie radę, zerwała się szybko i zginęła w kalejdoskopowym tłumie gości.

— Czemu nie zaczynają tańczyć? — mówiły strojne panny, spragnione zabawy.

— Już muzyka stanęła w sieni, — pocieszał Kocio Pomiszewski i zawezwał młodzież do *angażowania dam*.

W sieni odezwały się strojne instrumenty... Bas mruknął, zapiszczały skrzypce, słychać było skrzypienie kółków naciągających struny, zgrzyt przykry pociąganego po strunach smyczka, jakiś psi skowyt i słowicze odzywanie się fletów.

W sali ruch zrobił się, tu i tam skrzyżowały się głosy:

— Walc?

— Oczywiście, że walc!

— Masz vis-à-vis do kontredansa?

— Nie.

— Zaraz ci poszukam.

— Z kim tańczysz?

— Pomiszewski, daj znak muzyce!

— Panny Izabelli nie widzę...

Młodzież biegła od pań do pań, które zapisywały w karnecikach nazwiska tancerzy.

Matylda zwróciła się do Grudowskiego.

— Pan tańczy?

— Ja? — na pół ze zdziwieniem rzucił pytanie pan Hipolit.

— Przecie pan tańczył... O! pamiętam — pan tańczył, panie Hipolicie!

— Odwykłem, proszę pani; zapomniałem nawet jak się obraca w polce czy walcu.

— Więc pan ma stały zamiar nie tańczenia?

— Stały zamiar nie proszenia żadnej z pań do tańca.

— A, więc na to poradzić można, — odpowiedziała z uśmiechem Matylda, podnosząc rozmazany wzrok na Grudowskiego. — Poradzić można, poradzić trzeba a to jest moim, jako wicegospodyni obowiązkiem. Ja — pana — do pierwszego kadryla proszę.

Siedziała pod marmurową kolumną, na której paliła się piękna lampa pokryta pasowym przyściemnikiem, rzucająca blask gorący na obnażone, pełne i piękne jej ramiona.

Takich ramion nie widział dotąd pan Hipolit.

Patrzył na Matyldę, jak na kobietę obcą prawie, która przypominała mu jakąś dawną, jakąś bardzo dobrze znaną osobę. Ciepło, które było od niej, ta dziwna poezja ziemi nie mogła i na jego nie podzielać zmysły. Odurzyła go już atmosfera salonu, szum, gwar, jarzące się światła, zamęt, od którego odwykł zupełnie. Tymczasem to światło pasowe, blaskiem gorącym oblewające piękne ramiona, chylące się wciąż ku niemu, rzucało nań jakiś urok senny, budziło pragnienia uspięne, żądze drzemające, jakieś piekielne pożądanie szczęścia.

Z szybkością błyskawicy przez mózg jego przebiegły wypadki wszystkie ostatnich lat trzy-

nizinach ziemi, znikąd uśmiechu, znikąd serdecznego dźwięku, cieplejszego słowa ni technienia ożywczego. Jak bydle chodził wciąż w jarzmie tej pracy, pot z kurzem zmieszany ociekał ze spieczonego na skwarze słonecznym czoła, od nocy do świtu, od świtu do nocy wciąż jedno i jedno tylko, nawet sny nie były niczem innym, jak powtarzaniem tej pracy szalonej. Orz, siej, zbieraj, młóć, plać długi i znów orz, siej, zbieraj... a wieczorami siedź samotny wśród ścian czterech swojego gabinetu i słuchaj głosu zegara, który wylicza z obojętną akuracnością godziny i kwadranse, minuty i półminuty uciekającego wciąż życia.

— Trzydzieści siedem lat takich!... — szepnął w duchu.

Spojrzał na siedzącą przy sobie w pełni wdzięku kobietę pannę Matyldę.

— Ja więc panią proszę do drugiego kadryla, — rzekł, jakby w odpowiedź na jej słowa poprzednie.

Czarowne, ulotne dźwięki walca zakołysały się w powietrzu... Szmer się wzmógł, lecz nie mógł zgłuszyć dźwięków rozkosznej muzyki, płynącej coraz pełniejszymi falami.

Bał powinna rozpocząć gospodyni domu, ale ponieważ pani Rybina nie tańczyła już oddawna, wyręczyć ją musiała córka. Wiedział o tym zwyczaju Kocio Pomiszewski, którego salonowym błaznem pan Hipolit nazywał, — to też, rozglądając się w około, w posuniętych ruchach, schylony nieco, lecz zawsze poprawny, zbliżył się do panny Matyldy.

— Proszę panią, — rzekł nagle Hipolit, odgradzając sobie Kocia od panny Rybianki.

Kocio wstrzymał się tuż za plecyma Grudowskiego, przechylił głowę przez jego ramię i spytał z głupowatym zdziwieniem.

— Paan?

— Jaa, — rzekł Hipolit, zwracając się wpół do Pomiszewskiego.

Pary czekały na hasło.

Z uśmiechem tryumfu na ustach, rozkosznie na ramieniu pana Hipolita wsparta, panna Matylda rzuciła się w wir tańca.

Nagle...

— Brawo Grudowski! ze wszech stron odezwało się.

Ten nagły okrzyk zwrócił uwagę pani Rybiny.

— Turciu, Turciu, — zawołała szeptem, chwytając męża za rękę... — Patrz — patrz — patrz!...

Pan Bonawentura uniósł się na palcach, spojrział i obydwa wąsy postawił do góry.

— To dobrze — tego uważasz, — odszepnął.

— A có, mości dobrodzieju! — huknął tuż za nim Tołpiskiewicz. — Ot smali, że niech go!... anim się spodziewa! mości dobrodzieju!...

— Boże Święty, — modliła się w duchu pani Rybina. — Tobie się oddaję, Tobie polecam!...

A pan Ryba szepnął:

— Wywietrzy jej z głowy młyn!

Dźwięki muzyki kołysały się w powietrzu, wzdłuż sali dużej bieżyły szelesty i szmery. Kocio wirował z panną Izabellą, za każdym obrotem underając obcasem o obcas. Szum głuchy, jak pódruk budzącego się morza, łączył się z falami dźwięków, światła się chwiały, na białem obiciu ścian rysowały się cienie blade w ruchach dziwacznych, każdy załom sali, gżems każdy drżał od szumów i dźwięków a był ech pełny i westchnień pełny. Powietrze balowej komnaty napelnia się wonią kwiatów, ciepło się wzmacnia, zapach dziewczyczych ciał odurza zmysły, a wir za wirem płynie, miesza się, łączą się kolory i blaski, rwą się, rozpraszają i znów się łączą. Tysiąc barw miga, pędzą anioły w uściskach czarnych szatanów.

Z falującą pierśią, z płonącymi oczyma i uśmiechem pełnego zadowolenia na twarzy, rzuciła się panna Matylda na małą kanapkę, podtrzymywana przez Hipolita.

— Dziękuję... dziękuję... — szepnęła urywanym od zmęczenia głosem, ściskając rękę tancerza. — Rozkoszny walc... niezapomniany walc! Siedaj pan przy mnie. Ach! — dodała po chwili.

Zaczęła się wachlować.

— Ach!

Zmrużyła oczy i w półomdleniu pochyliła się, jakby jej tchu brakowało.

— Ach!... ach!... — powtarzała, coraz szybciej poruszając wachlarzem.

Panna Matylda miała bujne warkocze koloru złota, które szeszywane z tyłu, piękną piramidką wznosiły się ponad wierzch głowy. Przy świetle słonecznym lub jarzącym oświetleniu lamp, rzucały blask metaliczny, świecąc jak króleska korona. W tych splotach było róż kilka, na listkach krople czystej wody brylantów połyskiwały.

Pan Hipolit w dziwnym był usposobieniu — nie rozumiał samego siebie. To wszystko, co widział, czego doświadczył w tej chwili, było tak różne od codziennych spraw jego życia! Zdawało mu się, iż pozostawał pod zaklęciem jakiejś dłoni czarnoksiężkiej. Czuł w głowie zamęt, odurzenie nieznane dotąd — lecz dobrze mu z tem było. Patrzył na Matyldę i coś go ciągnęło do niej; miał chęć niepowstrzymaną dotknąć ustami jej ramion, pochylić czoło na pierś jej.

Zaledwie panna Matylda usunęła się na sofę z objęć pana Hipolita, jak stanął przed nią Kocio Pomiszewski.

— Proszę!

— Nie — nie, nie mogę! — odpowiedziała.

— *Tout* jeden!

Panna Matylda poruszyła głowę.

— Poczekam, aż pani odpocznie.

— Nie — nie... Drugiego walca może będę tańczyła, lecz tego, nie — nie chcę!...

— Ze mną? — spytał zdziwiony Kocio.

— Z panem.

— Dla czego?

— Ach! — odpowiedziała, poruszając niecierpliwie wachlarzem.

Kocio odszedł jak zmyty.

Po chwili Rokicki stanął,

— Pani!

— Nie mogę —

Rokicki skłonił się i odszedł, aż tu trzeci i czwarty z tem samem przybiegł żądaniem.

— Nie, nie, nie — nie mogę, nie chcę! — powtarzała każdemu z kolei. — Drugiego, trzeciego walca będę tańczyła, ale tego — nie!

Gdy odeszli, panna Matylda zwróciła się do Hipolita:

— Choćbym nie była znużona, tego walca już tańczyć nie będę.

— Nie lubię Pomiszewskiego, — rzekł Grudowski, — a jednak czy pozwoli pani, że z jego zapytaniem do niej się zwrócę?

Matylda spojrzała znacząco na Hipolita.

— Dla czego? — szepnęła półgłosem. — Bo — ten walc — był z panem tańczony —

Grudowski poglądził pochyłe wąsy i głębokie, badawcze spojrzenie utopił w żrenicach panny Rybianki. Zdawało się, że pytał:

„Prawdę mówisz?“

I odpowiadał:

„Nie wierzę.“

A następnie myśl taka zarysowała się w jego oczach:

„Była chwila, w której mógłbym pokochać ciebie — pamiętasz? Postępowanie twoje nie wiele się różniło od dzisiejszego, tkliwa byłaś i we mnie rosło uczucie. A był to czas przełomowy w mej pracy, doba największej niepewności, największego wysiłku i — największych długów. Wiedzieli o tem wszyscy, wiedziałas i ty! Czy mnie kochałaś? Co postawisz dziś na usprawiedliwienie swoje?“

Pytanie to nieme prawdopodobnie odczytała Matylda, bo zadrżała lekko, spuściła powieki a z pod rzęs dwie krople łez wybiegły...

— Nie gniewaj się pan, — szepnęła, wstając szybko, — jam niewinna. Nie gniewaj się pan!

Uściśnęła dłoń pana Hipolita i wyszła z sali.

Grudowski pozostawszy sam uczuł się od razu wolny od czaru, który go trzymał pod zaklęciem niezrozumianym.

„Panna Matylda!“

„A cóż mnie ona obchodzi? — szepnął. — Między nami skończyło się wszystko! Za stary już ze mnie wróbel, ażeby się łapał na ziarna puste. Rozsądku — przybywaj!“

I rozsądek tak kończył:

„Czy wiesz ile tu panien na wydaniu?... Przelicz!... Każda prawie, z wyjątkiem już może narzeczonych, nie zawahałaby się zostać żoną twoją—twoją, dziedzicą Górek i Piasków dzisiejszych. Nadto ci powiem: niejedna możeby jeszcze przylgnęła do ciebie. Panna Matylda miała czas ciebie pokochać, a gdy kochała—dać dowód swojej miłości w chwili, gdyś los wziął za bary a ona wiedziała o tem. Jak dziś poznasz gdzie fałsz a gdzie prawda? Lepszą jest twoja samotność niż komedia uczucia, której sens dopiero po zapadnięciu kurtyny zrozumiesz. Nie jesteś lalką stworzoną dla uciechy trzydziestoletnich panien.“

Tak mówił rozsądek i dodał:

„Ale—może ty kochasz?“

„Ja?—odpowiedział w duchu pan Hipolit. Nie! Widziałem łązy w jej oczach a nie spytałem: z ką one? Znacząco uściśnęła mi rękę, mówiąc: nie gniewaj się!—i wybiegła—a ja nie podążyłem i nie podążę za nią. Dla czego? Bo nie uwierzyłem tym łzom i tym uściskom. Gdy była przy mnie czułem coś, czego nie rozumiałem—lecz teraz nic już nie czuję i jestem znów sobą.“

Powstał i przeszedł do pokoju, gdzie pan Ryba cygarami częstował gości.

Bawiono się doskonale—panna Matylda dostrzymała słowa i walca pierwszego nie tańczyła już z nikim. W ogóle mało oddawała się zabawie, szukając towarzystwa pana Hipolita, który, w miarę zbliżania się jej, czuł przypływ dziwnego uczucia, gdy odchodziła—obojętność zupełną.

Pan Ryba, jakkolwiek w tej chwili wszystkich-by gości swoich oddał za jednego pana Hipolita, hamował swe uczucia i w niczem nie przekroczył właściwej granicy taktu. Mitygował nawet w pewnych razach małżonkę, powtarzając jej kiedy nie kiedy:

— Z sensem tylko, Brygittko, z sensem—tego uważasz...

Przed samą wieczerzą, ale po przetańczeniu dwóch kontredansów, pan Hipolit wysunął się cichaczem, lecz Ryba go spostrzegł:

— Ho-ho! uciekasz? — zawołał, łapiąc go w ganku.

— Muszę... obowiązek, — tłumaczył się Grudowski.

— Jak sobie chcesz, ale przed wieczerzą nie puszczaj koła pozdejmuję, ale nie puszczaj, nie puszczaj!... No—nie rób-że mi przykrości, tego uważasz!

— Wierz mi pan, że nie mogę; dużo mam zajęć i kilku interesantów od rana czekać na mnie będą. Coraz bliższym jest czas, kiedy już odechnę swobodniej—a wtedy... jeżeli pozwolicie państwu—odwiedzę was znowu.

— Ha! proszę szczerze, — rzekł pan Ryba. — Znasz mnie—tego uważasz... Jeżeli można.

— Zostałbym, gdybym mógł, — tłumaczył się Grudowski. Żonę i pannę Matyldę proszę przeprosić, że nie żegnam, ale nie chcę przerywać zabawy i być narażony na prośby, którym nie mógłbym zadość uczynić.

— Mości dobrodzieju—szukają ciebie, — zawołał nagle Tołpiszkiewicz, stając w drzwiach ganku.

— Kiedy namówię się nie daje, — odezwał się pan Ryba.

— A to dla czego, panie dobrodzieju?

— Spytaj go, tego uważasz!

Targowano się jeszcze przez chwilę ale pan Ryba natrętnym być nie chciał i wesoło a serdecznie pożegnał pana Hipolita.

Zwrócił się od drzwi, gdy nagle spostrzegł śpieszącą a zaniepokojoną Matyldę.

— A dokąd?

— Pan Hipolit...

— Na lewo zwrot, — rzucił przez zęby pan Bonawentura, a popychając lekko córkę do pokójów—szeptał zirytowany nieco...

— Z sensem—z sensem, bo dyabli wszystko wezmą!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg).

XXXI.

Na pensyi w Berlinie.

Nadeszła ważna dla mnie epoka. Wybraliśmy się (1801) w podróż do Berlina. Jechaliśmy dwoma powozami i bryką pakowną. Rodzice — pan Józef po odbytych feryach wracał z nimi—pani Mikorska, słaba na zdrowiu, zabrała się do doktorów; brat mój do akademii wojskowej, a ja na pensję. Zapakowano całą moją garderobę, tak dawniejszą, jak nowo przysposobioną.

Jeżeli doznałam była miłego uroku, widząc przed 5 laty piękne mieszkanie i ogrody w Warszawie, to cóż mówić o zadziwieniu, wjechawszy pierwszy raz w te ulice nieskończonej długości, napelnione przepyszniemi gmachami, te pałace książęce, oddzielone od ulic kratami żelaznemi, jakby kaplice od kościoła, te trawniki, prześlicznej zieloności, zdobiące dziedzińce pałaców i ogrodów publicznych, te posągi z białego marmuru na nich porostawiane, bramy wspaniałe, ta publiczność przechadzająca się codziennie strojna i świetna, jakby na uroczystość, te ubiory nadzwyczajne mieszczanek niższych i sług pociżńskiej, te czapeczki lite na wierzchu głowy, z wystającą w pół łokcia nad czołem mocno sfaldowaną falbaną wygumowaną, zwiężającą się przy uchu tak, że się wydawała, jakby długie, obcięte nad uchem rondo kapelusza damskiego, naprzód i w górę sterczącego. Dziewczęta nosiły białe czapeczki szlaskie, z szeroką falbaną na barki spadającą, związane czarną jedwabną chustką, której węzeł nad czołem sterczał w kształcie czarnego motyla; fartuch czarny wełniany uzupełniał ten ubiór, odróżniający niższe od wyższych klas mieszkańców. Dziś te różnice znikły (1849).

Pierwszego zaraz dnia widziałam teatr narodowy, grano „Flet zazarowany.“ Co za muzyka! Nigdy nie zapomnę tego wrażenia. Weszliśmy podczas uwertury, mniemałam się być w niebie. Te łoże w dwoistych rzędach, pod moimi nogami parter — jedyne stanowisko, z ką scenę dotąd widziałam, bo teatr oszczędnie wystawiony w Kaliszu przez entraprenera i dyrektora trupy, pamiętnego Bogusławskiego, był tylko szopą z cegły nietynkowaną, z parterem i galerią dla niższych klas. Olśniona zostałam dekoracją i kostyumami teatru stolicy. Ale co do gry? O! to nasz Pamino—Szymanowski, Pamina—Truskolaska, królowa nocy—Stefani, a nigdy niezapomniany Papageno—szanowny dyrektor i Papagena — pani Szczurowska, nie pozostawili nic do życzenia. Gra niemieckich aktorów niedostateczną mi się zdawała; nie dostawało tam głosu potężnego naszego Szczurowskiego w roli Zoroastra. Cieszyłam się wyższością sceniczną naszych Polaków!

Trzeci dzień po przyjeździe do Berlina oświadczono nam wizytę pułkownika Kleist, dyrektora akademii wojskowej, a zarazem opiekuna mego w czasie pobytu mego na pensyi. Towarzyszył nam więc do tego zakładu. Rodzice polecieli mnie jemu i ochmistrzyni pannie Bocquet. Była to osoba poważna wiekiem i postawą, mało mówiąca, oprócz tego co do jej ściągano się zawodu. Pozostałam, ale rodzice jeszcze bawili w Berlinie kilka tygodni i przepędzałam u nich dni wolne od nauki.

W tym czasie oswajałam się z nowym moim pobytem. Widywałam całą niemal rodzinę zbraną i przyzwyczajałam się powoli do pokarmów pensyonarskich, nieznośnych memu podniebieniu. Grzeczność wpojona we mnie od dzieciństwa nie dozwalała mi skarżyć się, ale wstawałam głodna od stołu i zaspakajałam apetyt

bulką i owocem dla mnie z miasta przynoszonym. Dozorczyni i sama ochmistrzyni uznawały delikatność mego postępowania i nie miały żądnej nagany. Gorzej było z porządkiem lekcyj, którego wcale nie pojmowałam. We wszystkich przedmiotach dyktowano — miałam odanych kilka seksternów — nie wiedziałam dla czego, bo mi jeden wystarczył przy moich guwernantkach, a ten był przeznaczony do kaligrafii. Takowy już miałam w porządku, bo mi go pan Marthe podpisał i kontent był ze mnie. Dyktowane wszelkie pismo mieściłam w drugim a pozostałe kilka chowałam na zapas. Przy rewizyi miesięcznej okazał się straszny odmet w moich poszytach, raczej poszycie; dziwiono się, jak mogłam pamiętać wykładane przez nauczycieli lekcyje przy takim nieporządku. Ale ja wcale nie nie odczytywałam. — szczęśliwa pamięć zastępowała pilność i porządek, przecież musiałam odpisywać z cudzych kajetów podług wskazanego porządku — to mi wyjaśniło cel moich lekcyj, a praca podjęta oswoiła mnie z przykładaniem się do niej — uznałam skuteczność nauki systematycznej, wszystko mi szło łatwo, — stało mi się miłą rozrywką. Nie mogłam się oderwać od rozmaitych przedmiotów, które mi wykladałano z taką jasnością, z tak grzecznem obejściem, co mnie do reszty zniewoliło. Nauczyciele byli ze mnie zadowoleni, oprócz tego, który nam udzielał arytmetyki, bo myśl moja, patrząc na to mnóstwo liczb, zawsze była roztargniona, a me oczy utrudzone ich kolumnami.

Tanecmistrz zostawiał mnie sobie dla przyjemności na ostatek godziny i przeznaczał mi nowe trudniejsze tańce do popisu na balach, jako to: gawotę Westrisa i pas de deux, wyjęte z baletów, zastosowane do salonu, gdzie nade wszystko o wykonanie polskich tańców zawsze byłam proszona. Co do innych nauk, pokonywałam czasem trudności w właściwy sobie sposób, zaczęłam pojęć zwykłe środki, wskazane przez nauczycieli; uważałam ztąd wielką ich dla mnie przychylność. Z muzyką nie bardzo mi się udawało, czułam jej piękność, słuchałam z uniesieniem, znałam co mi nie dostaje, a nigdy dobrze nie wykonywałam, pomimo najusiłniejszej pracy. Skład ręki i nieśmiałość były moją wadą. Za to celowałam w rysunkach—wybiegałam wszystkie moje rówieennice. Szkoda, że za mało czasu mogłam poświęcić tej umiętności; talent mój nierozwinięty, w mierności pozostał.

Młode Niemki zaczęły mnie prześladować przewzikiem „Polak.“ Odtąd na wszystkich seksternach moich obok imienia i nazwiska położyłam dany mi przydomek „Polak,“ aby je przekonać, że się chlubiłam z tego, czem mnie prześladować chciały. W dzienniku pisanym dla moich rodziców, umieściłam ten wypadek, a ojciec nadesłał mi następną pocztą broszurę profesora Kaulfussa z Poznania „O śpiewności i poetyczności języka polskiego“ po niemiecku napisaną. Przechodziła z rąk do rąk na pensyi i dostała się później uczonym berlińskim.

Letnią porą wstawałam o 2 godziny raniej jak inne pensyonarki; były to dla mnie gody — siedzieć sama jedna, otworzywszy okno i słyszeć, a nawet widzieć spadek wody u Mühlendammu, patrzeć na Szpreę po za składy, ciągnące się niżej wzdłuż naszej ulicy Packhof zwanej, po nad rzeką, gdy miejsce z ką spoglądałam, przenosząc dachy przeciwległej niepiętrowej budowy, otwierało mi widok obszerny na wszystkie strony. Wlewo po za szumiącymi szluzami młynskimi wznosił się piękny gmach mennisy; na prawo cokolwiek zamek królewski i most myśliwski (Jägerbrücke) z placem otwartym, zwanym Lustgarten, miejscem otoczonym dwoma rzędami wspaniałych topoli. Dalej wznosił się tum wspaniały, a bardziej na prawo pałac generala Kanitz, przyjaciela królewskiego, gdzie często widziałam przybywającego koronowanego przyjaciela cicho i bez przepychu w porannych godzinach. Król Fryderyk Wilhelm III lubił życie prywatne i dla tego można go było często spotykać niepostrzeżenie.

Wzniesie myśl do Boga w tej uroczystej ciszy, przebiegać moje poszyty, uczyć się na pamięć poezyi do lekcyi wskazanej—tak miłem było dla

mnie zadaniem, jak było przekonanie, że z całych sił korzystając z nauk, staraniem rodziców miudzielonych, wdzięczności mej dowodzę. Jakże mi było upragnione doświadczenie tego, wczem się widziałam przez guwernantki niezdolne zaniedbać — i zrównanie z młodszemi ode mnie elewami! Nie lubiłam gier dziecinnych, bo w tych swawolach ciało moje urażliwe niemile czasem dotknięte zostało, a umysł w niczem nie znalazł zadowolenia.

Mała biblioteczka doręczna, składająca się ze wschodnich zaczarowanych i rycerskich powieści, dla zaprawienia w dzieciach smaku do czytania, wkrótce mi dostateczną nie była; pozwolono mi się abonować w bibliotece Barbiego. Brałam sama od niego książki podług katalogu. Bardzo mnie zajmowała mytologia, a znalazłszy tytuł: „Metamorphoses d'Ovide“, prosiłam o nie. Roześmiał się Barbier i odmówił; domyśliłam się żem źle zrobiła i nie śmiałam pytać o przyczynę; dobrze uczyniłam przez instynkt, bo nie domyślałam się nawet, aby można drukować i wydawać pisma szkodliwe.

Czas przepędzony tak mile i pożytecznie w porankach letnich, wynadgradzałam zimową porą wieczorami. Był zwyczaj na pensyi, że po skończonych lekcjach i godzinach dwóch do przygotowania zostawionych, od 6 — 8 godziny, t. j. do czasu wieczery, zasiadały pensyonarki i dozorczyni około długiego stołu, na którym trzy świece funduszowe jaśniały. Wszystkie były zajęte robotami ręcznymi. Jedna z panien starszych czytała głośno z kolei, ale że większa część tych młodych osób wykonywała robotki delikatne, wymagające żywego światła, wolno więc było mieć w koszyku ręcznym świecę jarzącą i lichtarzyk — i zaświecić ją przed sobą. Te rzędy świec tworzyły zabawne i niemniej żywe oświetlenie sali, — a głos donośny i świeży od czytanej powieści Anny Radcliff, pani Genlis lub Marmontela uprzyjemniał nam dziwnie długie te zimowe wieczory.

Po wieczery był to dla mnie prawdziwy sabbat szatański, kiedy swawolne te dziewczęta rozpoczęły swoje gry i rubaszne figle. Wszystko było natenczas dozwolone, aby się tylko zdrowiu i obyczajności nie sprzeciwiało. Ale to do mojego nie przystawało organizmu, bo byłam słaba, drobna i nienawykła do silnych ruchów. Uciekałam więc z moją świecą do pokoju odosobnionego, tam czytałam książki własnego abonamentu lub pisałam dziennik dla rodziców, który się stawał coraz treściwszym. Ciocia — tak nazywałyśmy ochmistrzą, pannę Bocquet, — przepędzała większą część wieczoru w swych pokojach z gośćmi, albo też u przyjaciół — czasem samotnie z książkami i pismami politycznymi, którym to każdego dnia część jego schyłku poświęcała. Miała lat 54, więc już i wzrok jej był nieco osłabiony i siły wymagały spoczynku; czytywała więc, leżąc na kanapie. Dowiedziawszy się, że ja nie biorę udziału w figlach dziecinnych, przyszła do mego odosobnionego schronienia i zapytała, dla czego nie bawię się wspólnie z innemi.

— Gry i swawole nie bawią mnie.

— Może doznajesz prześladowań?

— Nie, ciociu, ja teraz cieszę się przychylnością moich koleżanek, nie tak jak w pierwszych czasach mego pobytu.

— Ach to pewnie przypomniła ci się sprawa z panną Būrnet, przecież już teraz nie jesteś tak dziką?

Muszę tu wspomnieć i wyznać mój błąd dziecinny. W Polsce nie znaleźmy kupców, tylko handlarzy żydów. Ci byli w wielkiem poniżeniu, bo

brudni, natrętni i oszudy, nie mieli wstępu do domów, tylko dla pozbycia towaru, a i ten, jak mówiono „żydem śmierział“, dopóki go ręce usłużne nie przerobiły, wywietrzyły lub oczyściły. Z innymi też kupcami styczności nie było, zatem stan handlowy w domach szlacheckich nie doznawał żadnej sympatii, a częstokroć ważniejsze interesa zostawiały niemile wspomnienie, straty — na bankructwie lub nierzetelności kupców. Tak się rzecz miała i z artystami scenicznymi, których publiczność ogólną nazwą „komedyantów“ oznaczała: czy on skakał na linie, przedstawiał tragedye, śpiewał w operze, lub tańczył balet, nawet ci co brudne maryonетки w austerych wiejskich okazywali i kuglarze snujący tasienkiz ust — wszystkojednem brzmiało mianem... a wystawieni na widowisko za pieniądze — jako rzecz płatna — dla zabawy ludzi uczciwych służąca, ścigała pogardę na ich osoby.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Talent twórczego natchnienia w muzyce jest jednym z najrzadszych darów u kobiet, dlatego też szczególne zajęcie budzą osoby posiadające zdolność kompozytorską. Oprócz paru zaledwie Polek autorek muzycznych i to już zmarłych, jak księżniczka Janina Czetwertyńska i p. Jeske Choińska, mamy w Warszawie jedną kobietę, która od czasu do czasu wydaje swe prace odznaczające się melodyą swojską, wyraźną i cechami indywidualnemi autorki t. j. życiem i pogodnym nastrojem. Jest nią pani Seweryna Keyzerowa. Jej utwory, jak: „Sześć polonezów“, „Sześć mazurów“, „Sześć poplek“, wyszły z druku w Lipsku u Breitkopfa, obecnie zaś ogłosiła doskonałe „Trzy mazury“, które są na składzie głównym w księgarni Sennewalda. Miły widok sprawia ta niemłoda już osoba siedząca przy fortepianie, z pod której palcy tryskają silne i serdeczne nuty, a na której czole mieszka słoneczna wesoła myśl wzywająca młode pokolenia do ruchu, zabawy i tej dawnej szczerzej ochoty, która nie zawsze wśród współczesnego gości pokolenia.

— Hamburskie koło niemieckiego związku kobiecego, zarządziło za pomocą naukowego zakładu fröblowskiego w Hamburgu kurs nauki fröblowskiej dla matek, które, bardzo młode i niedoświadczone, często nie umieją dać sobie radę z zabawieniem i przyuczeniem do ładu w zabawie swoich małych dzieć. Bardzo to dobry pomysł, a że kurs taki nie trwa długo, liczne więc koła pań garnie się do nauki.

— W Wiedniu ogłoszone obecnie stypendyum dla kobiet studyujących na tamtejszym uniwersytecie, ofiarowane przez pannę Maryę Najmajer. Wśród ubiegających się o tę pomoc naukową znajduje się młodzieńca panienska, która ukończyła żeńskie gimnazjum założone w Wiedniu przez tamtejszy „Związek kształcenia kobiet“ i ta niezawodnie stypendyum to dostanie.

— W Wrocławiu istnieje od lat 50 „Stowarzyszenie dla wspierania biednej dziatwy szkolnej“, noszące nazwę „Pfennig-Verein“ jakoby

„Związek groszowy“, bo wszyscy członkowie opłacają tylko talara rocznie czyli feniga dziennie. Stowarzyszenie to założyła pani Lina Morgenstern (z domu Bauer) obecna jubilatka jako od 25 lat redaktorka „Hausfrauen Zeitung“ w Berlinie. Po zamażpójściu p. Liny objęła kierownictwo Związku jej matka p. Fanni Bauer a do dziś dwie siostry założycielki pracują w zarządzie instytucji. Ile dobrego Stowarzyszenie to zdziałało przez długi lat szereg swego istnienia posłużyć mogą następujące dane w cyfrach: W r. 1886-ym wydano na kolonie letnie 500 marek; w latach 1887 do 1889 po 200 marek rocznie, na ciepłe śniadania dla biednych dzieci; od r. 1886 do 1898 wydano przeszło 13,200 marek na 4,000 z górą par obowią, w r. 1891 rozdano par bucików 350 i t. d. Związek ten nie ma żadnych funduszy stałych, działa tylko z zebranych składek członków opłacających 3 marki rocznie. Ale podstawą jego jest energia kilkunastu kobiet, które w uczuciu litości dla biednych co rok czynią te same zabiegi aby wystarczyć z funduszem na zakupienie najpotrzebniejszych przedmiotów jak: odzienie, obowią, przybory szkolne, ciepłe śniadania i kolonie letnie i tym sposobem umożliwić uczęszczanie do szkoły najbiedniejszej dziatwie. Lat 50 istnienia takiej instytucji, to istotnie jubileusz humanitarnej idei, wielka rocznica dobrego serca tych niestrudzonych kobiet.

— Ta sama Lina Morgenstern założyła obecnie nową instytucję, mianowicie: Schronienie dla niezdolnych do pracy sług, które za pełnienie wzorowo obowiązków bywały nagradzane przez niemiecki Związek kobiet w Berlinie. Istotnie, pożyteczna to instytucja, bo gdzie się mają podziąć biedne służące, którym zdrowie i wiek już nie pozwala przyjmować miejsca u chlebodawców, rodzin bliższych nie mają, a ciężarem dla biednych swych familij być nie mogą. Bardzo obfite składki wpływają już na założenie powyższego schronienia.

— Pierwszą kobietą, która otrzymała stopień doktorki na uniwersytecie w Berlinie, jest panna Elsa Neumann. Egzamin odbył się dnia 13 Stycznia b. r. i o godzinie wpół do 9-ej wieczorem przyznało doktorat filozofii „cum laude“ młodej kandydatce grono najwybitniejszych profesorów, jak Dilthey i Fuchs (matematyka), Warburg, Plan (fizyka) i inni.

— Anna Mattke, służąca u państwa Ottonów Tropelwitz w Berlinie, obchodziła w Styczniu b. r. jubileusz 25-letniej służby u tychże swoich chlebodawców. Niemiecki Związek kobiecy w Berlinie też już w swoim czasie odznaczał ją za wierną i dobrą służbę. Tego rodzaju jubileusze należą bez wątpienia do najrzadszych, a warto też przy obecnym uznać dobroć i wyrozumiałość owych państwa Tropelwitz, bo chociaż jubilatka, to przecie owa Anna Mattke nie była tam znów przez lat 25 bez jakiegoś „ale“, co zresztą jest naturalnem, — między świętami nawet znam tylko jedną służę, to jest św. Zitę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 3-ci powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

Treść: Juliusz Kossak, przez A. Dobrowolskiego. — Rodzicielskie złudzenia, przez Szczęsną (dokończenie). — Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Kazimierz Gliński. Krzywdy. Powieść (dalszy ciąg). — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 3-ci. Tom II-gi. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Serwetka na meble.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 6. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 64).

Bardzo kosztownie przedstawia się serwetka z brudno-ponsowego jedwabnego repsu, ozdobiona robotą w rodzaju koronki z tasiemeczki point-lace i jedwabiu kordonkowego w kolorach: żółto-złotym i mais. Dla wykonania tej roboty należy przerysować deseń podług fig. 64 na materyał, podszyc go ceratką i zacząć robotę od aplikacji tasiemeczek. Tasiemeczki powinny mieć 1/2 cent. szer. Jak deseń wskazuje, rysunek wypełniony jest rozmaitym ścięciem, oprócz tak zwanych pajęczków, bardzo duża część roboty wypełniona jest ścięciem „punto-tirato”. Brzegi figur obwiedzione sznureczkiem gęsto są dziergane. W miejscach deseni, nie wypełnionych ścięciem, wycina się materyał.

Strojna wiosenna tulaeta, przybrana aplikacją.

Rycina Nr 1.

Materyał: ciężki kaszmir w szaro-niebieskim kolorze. Przybranie: aksamit w ciemniejszym odcieniu, aplikacja z tegoż aksamitu i wyszycie z jedwabnego sznura. Spódnica w małym odstępie od brzoza oszyta wokoło sznurem, otwiera się na przodzie, pokrytym piękną, fantazyjną aplikacją. Bluzkowy stanik, z długimi, ostro zakończonymi wyłogami, podłożony jest kamizelką w rodzaju bluzki z aksamitu. Stojący kołnierz Medicis, wyłogi, oraz przód i plecy stanika, pokryte są odpowiednią do przodu spódnicy aplikacją. Nadto, brzegi stanika oszyte są sznurem. Nowością przy tej sukni są guziki, które zdobią rękawy i przód spódnicy. Są one obciągnięte aksamitem, nabijanym stalowymi paciorkami. Odpowiednią do guzików jest sprzączka u paska.

Wiosenny paltocik dla młodej panienki.

Rycina Nr 2. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 50—59).

Zupełnie przystający do figury, zapięty na 2 rzędy niezbyt dużych, rogowych guzików, paltocik z czarnego sukna, wykończony jest na podszewce z czarnego atlasu w białe paski. Jedynym przybraniem są stebnowane pliski z sukna na szwach przednich i tylnych, oraz na rękawach. Mały, aksamitny kołnierz, dopełnia skromnej, lecz bardzo dystygowanej całości.

Chusteczkowa pelerynka dla młodej panienki.

Rycina Nr 3. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XIII, fig. 99—104).

Bardzo ładną i strojną okrywkę stanowi pelerynka w kształcie chusteczki, zrobiona z czarnego aksamitu i wszyta w stojący, złożony z kilku części kołnierz, przybranie składa się z plisowanej falbanki z taffetas i z gazowych riušek, które przykrywają przyszyte falbanki i zapięcie z przodu, oraz suto wypełniają kołnierz. Pelerynka wykończona jest na moltonie i na jedwabnej, lekkiej podszewce.

Kostium angielski, przybrany haftem ze sznura.

Rycina Nr 4.

Nadzwyczaj strojny kostium z białego sukna, przybrany jest kosztownym wyszyciem w stylu rokoko, z jedwabnego białego sznura. Wyszycie ciągnie się wokoło spód-

nicy i w odstępach tworzy bogate, wysokie desenie, pokrywa cały przód i plecy stanika, oraz górną część rękawów, w kształcie epoletów.

Ubranie z voile'u do Pierwszej Komunii.

Rycina Nr 5. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 47—52).

Całe przybranie wdzięcznej tej sukienki stanowią dzobne zakładki na spódnice i staniku. Spódniczkę okalają one pięcioma szeregami w odstępach, poczynając 15 ctm. powyżej brzoza. Staniczek składa się z gładkiego przodu i pleców, na których od ramion lekko udrapowana jest bluzeczka. Przód ułożony jest w zakładki aż do stanu, plecy okrągłe, w rodzaju karczka. Takież same zakładki powtórzone są na rękawach. Do paska z repsowej wstążki, zakończonego z tyłu szarfą, przymocowana jest z przodu mała jedwabne torebka. Ubranie głowy stanowi rodzaj kapotki z długim, odrzuconym do tyłu welonem.

Ubranie z kaszmiru do Pierwszej Komunii.

Rycina Nr 6.

Ubranie do Pierwszej Komunii, nie tylko ze względu na wiek tej, dla której jest przeznaczone, lecz i na ważność i powagę chwili, powinno odznaczać się skromnością i prostotą. Wskaza-

ne na rycinie naszej, składa się z gładkiej spódniczki, kilka razy naszytej repsową wstążeczką, oraz z bluzki, przyszytej do karczka, zestawionego z drobnych zakładek i wstaweczek gipiurowych. Takież same zakładki i wstawki zakończone rękawy. Biała repsowa wstążka związana w stanie spływa długimi końcami z tyłu spódniczki. Tiulowy, zgrabny czepeczek, w kształcie kapotki, bardzo ładnie wygląda w połączeniu z długim welonem.

Sukienka dla dziewczynki od 7—8 lat.

Rycina Nr 7. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—29).

Zręczna ta sukieneczka, z granatowego foulé składa się ze spódniczki z okrągło wykrajaną falbaną i z bluzki zapiętej z tyłu, przybranej karczkiem z białego kaszmiru, ułożonego w drobne zakładki. Karczek dopełniają szeleczyki z niebieskiego aksamitu, oraz dwa zęby z przodu i z tyłu z tegoż aksamitu. Aksamit, z którego także wykonany jest stojący kołnierz, przykrywa gipiurowa wstawka. Nadto, z pod aksamitu wysuwa się podwójna, plisowana falbanka, 5 ctm. szeroka, z białego kaszmiru, lub jeśli kto woli, z materyału sukienki. Aksamitny niebieski pasek, zapięty jest z tyłu na kokardę. Rękawki zakończone falbanki, odpowiednie do falbanki wokoło karczka.

Wiosenny kostium z krótkim paltocikiem.

Rycina Nr 8.

Spódnica z brązowego ciemnego sukna, przybrana pięknym haftem brązowymi jedwabiami w kilku cieniach, bardzo dystygowane tworzy zestawienie z paltocikiem w jasnym kolorze beige. Wyszycie ze sznura oddziela górną część paltocika w rodzaju karczka, poniżej którego odkładają się niewielkie wyłogi, pokryte wyszyciem. Takież wyszycie przedłuża się na rękawach. Paltocik zapina się na dwa rzędy perłowych guzików. Wysoki kołnierz podłożony małym, wykładanym, dopełnia całości.

Tulaeta wieczorowa, przybrana haftem, dla młodej osoby.

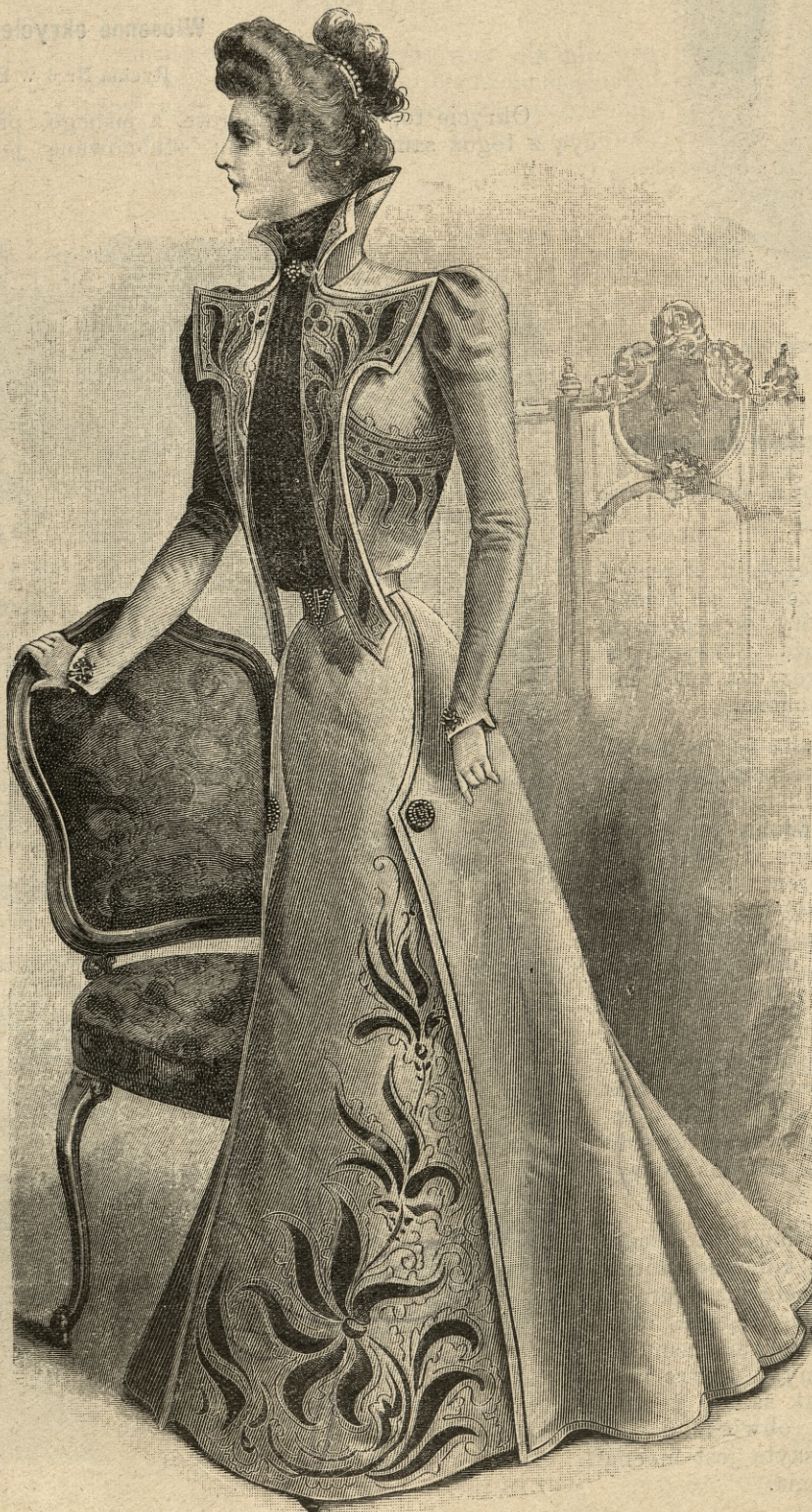
Rycina Nr 10.

Spódnica gładka z kremowego voile'u, zakończona jest u brzoza haftowanym szlaczkiem, Fantazyjny, lekko rozrzucony bukiet pokrywa bok lewy. Stanik, z takiegoż jak spódnica materyału, z zahaftowanym przodem i plecami, z lewego boku w ząb wycięty, podłożony jest jakby drugim stanikiem z marszczonego taffetas, naszytego pomiędzy bufkami karbowaną wstążeczką. Taką wstążeczką obejmuje parę razy wokoło wycięcia, oraz epolety, od których ciągnie się długie, marszczone rękawy z taffetas, zakończone także karbowaną wstążeczką.

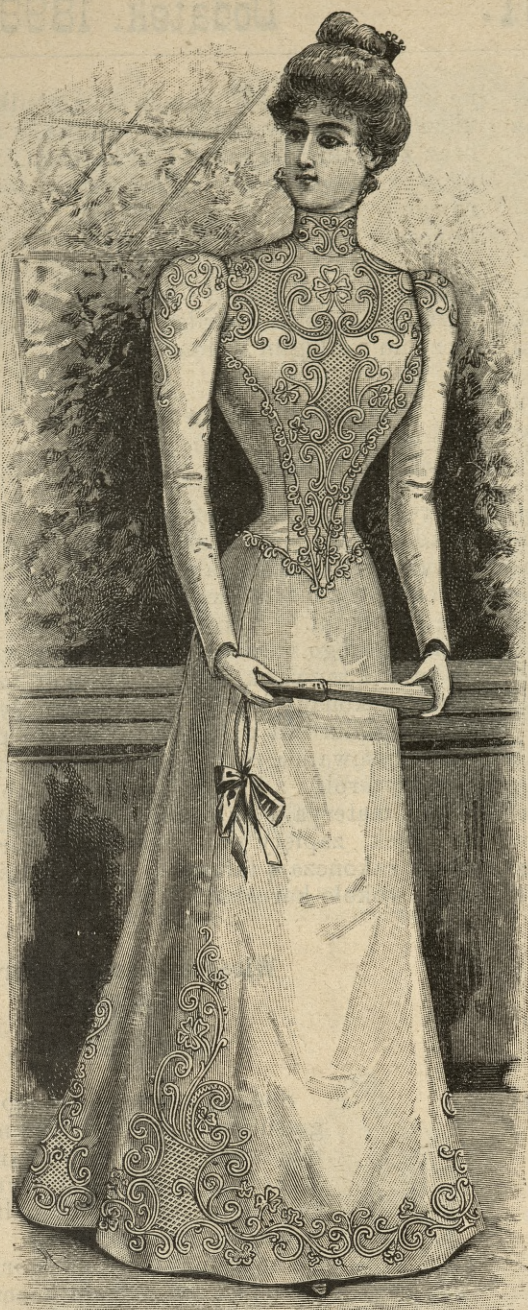
Oszycie do majtek szydełkową robotą.

Rycina Nr 12 i 15.

Nader łatwa, a jednocześnie efektowna robota, jak wskazuje ryc. Nr 15, dopełniona przewleczoną wstążką w dowolnym kolorze, może być też użyta do innych celów. Bardzo ładnie wygląda jako oszycie do fartuszków, z bawełny białej — do białych, z kordonku czarnego — do czarnych kamlotowych, lub jedwabnych.



Nr 1. Strojna wiosenna tulaeta, przybrana aplikacją.



Nr 4. Kostyum angielski, przybrany wyszyciem ze sznura.

Rzezbiona skrzynia z przykryciem i z ozdobą na ścianę.

Rycina Nr 19—21. (Deseń do przykrycia i ozdoby na ścianę pierwsza strona tablicy fig. 63—66).

Rzezbiona pięknie skrzynia w połączeniu z ręczną robotą, zastosowaną do przykrycia i ozdoby na ścianę, stanowi oryginalny i ładny mebel, który w sypialnym pokoju, lub gabinecie ustawiony być może. Skrzynia taka różnej bywa wielkości, wskazana przez nas ma 1 mt. długości, 45 ctm. szerokości i tyleż wysokości.

Przykrycie, podszyte dymką, składa się z dwóch pasów: brązowego i jednego pasa niebieskawego sukna, mającego 45 ctm. szerokości, 50 ctm. długości. Na pas niebieski przenosi się deseń podług fig. 63, na pasy boczne brązowe, podług fig. 64. Duże liście i kwiaty na pasie środkowym należy podkleić papierem, lub sztywnem płótnem. Kontury obwodzi się złotym sznureczkiem, gałązki haftuje się gęstym ścięciem hamburską włóczką, w kolorze brązowym jasnym, do cienia (patrz ryc. Nr 19). Zresztą kolory kwiatów i liści pozostają dowolne.

Na bocznych pasach naszywa się, podług przerysowanego $1\frac{1}{2}$ ctm. szeroką, złocistą tasiemeczką i wypełnia deseń sutasem złotym i aplikacją, jak na deseni środkowym (patrz ryc. Nr 19). W końcu naszywa się wokół pasek sukna brązowego $2\frac{1}{2}$ ctm. szeroki. ten zaś pokrywa się szlaczkiem ze złotego sznureczka.

Bardzo oryginalną robotą jest ozdoba na ścianę, umieszczona nad skrzynią. Szare, grube konopne płótno (104 ctm. w kwadrat), pokrywa się oddzielnymi figurami deseni, podług fig. 65 i 66, w odstępach 18 ctm. długich i 7 ctm. szerokich. Tło pomiędzy figurami zasnuwa się włóczką w kolorze terracotta i oliwnym (patrz ryc. Nr 21), brzeg figur zaś wykończy się tak samo, jak na ryc. Nr 19. Liście na górnym szlaku obwiedzione są także złotym sznureczkiem. Całość podszyta jest mocną dymką i opatrzona kółkami do zawieszania.

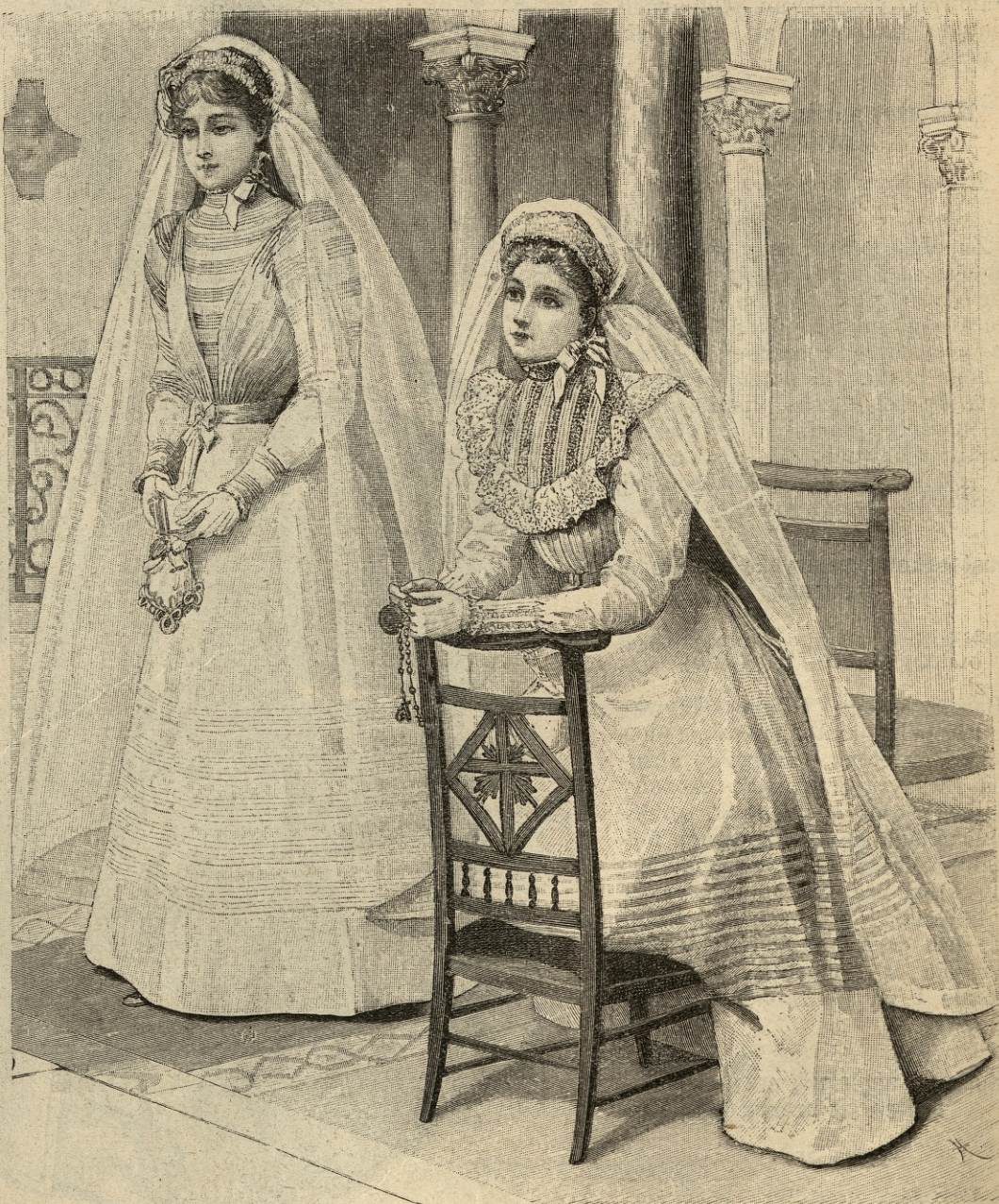


Nr 2 i 3. Wiosenny paltocik i chusteczkowa pelerynka dla młodych panienek. (Krój pierwsza strona tablicy Nr IV, fig. 30—39 i odwrotna strona tablicy fig. 99—103).

Wiosenne okrycie z sukna.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 5.

Okrycie to, formą redingote, z jasnego, piaskowego sukna, przybrane jest aplikacją z tegoż samego materiału, stebnowaną jedwabiem. Aplikacja ta obejmuje cały



Nr 5. Ubranie z voile'u do Pierwszej Komunii. (Krój pierw. str. tablicy Nr VI, fig. 47—52).

Nr 6. Ubranie z kaszmiru do Pierwszej Komunii.



Nr 7. Sukienka dla dziewczynki od 7—8 lat.
(Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—29).

brzeg okrycia, a ciągnąc się powtórnie od ramion, przecina okrycie poniżej bioder, imitując w ten sposób wysoką falbanę. Wysoki, mocno odstający kołnierz Medicis, ostebnowany jest wokół. Wąskie rękawy, przy ramionach i przy ręku, przybrane są aplikacją.

Spódnica haftowana i peleryna do czesania, dla młodych osób.

Rycina Nr 2 i 3 w Bl. Nr 8. (Forma zmniejszona odwr. strona tablicy fig. I—IV).

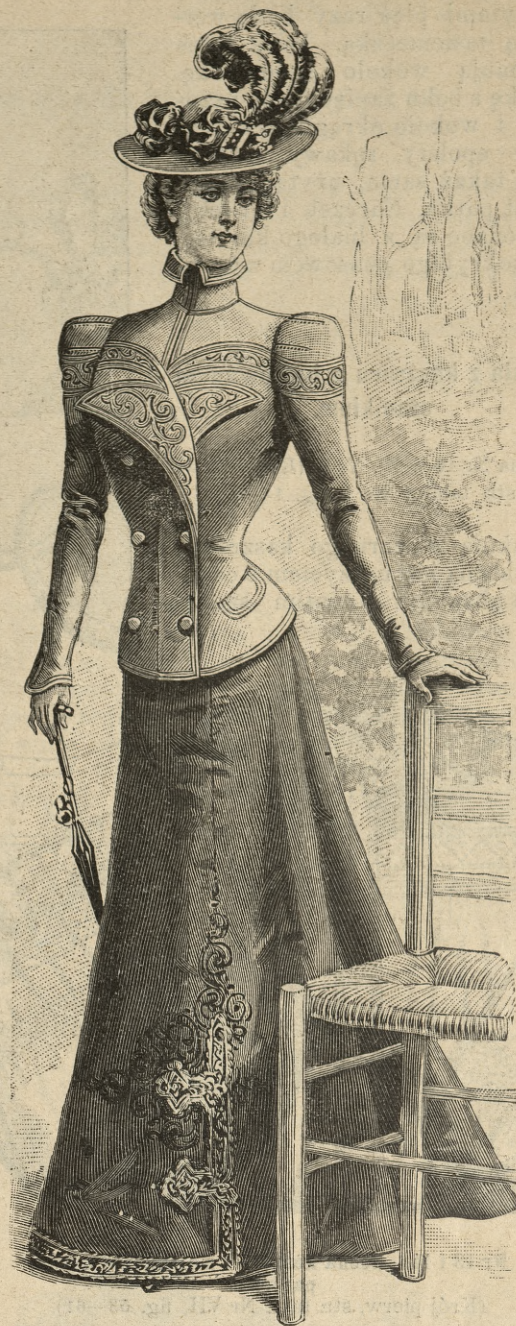
Bardzo ładna i strojna, batystowa spódniczka, przybrana jest falbaną 13 cent. szeroką, ułożoną w drobne zakładki, tworząc kratę i zakończoną w górze i w dole haftowaną wszewką. Nadto, falbana w dole, oszyta jest 5 centim. szerokości falbanką z hafciku, odpowiedniego do wszewek, tę zaś przykrywa suto marszczona, tej samej szerokości valencienna. Podług fig. I i III kraje się po jednej części, podług fig. II — dwie.

Peleryna do czesania, z batystu, w ażurowe paski, składa się z dwóch części, skrajanych podług fig. IV. Części te, opatrzone z przodu obrębem (pod dziurki i guziki), zszywa się na plecach i marszczy wokół szyi. Przybranie stanowi u brzoza falbana z tegoż samego materiału, 11 centim. szeroka, przy szyi zaś kryza z wywodzonej na tiulu koronki, związana na różową lub niebieską wstążkę.

Fartuszek, Marie-Antoinette.

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 8. (Krój pierwsza strona tablicy Nr VIII, fig. 62).

Śliczny ten fartuszek, stosowny dla młodych osób, wykonany z batystu błado-niebieskiego, przybrany jest wstawką i koronką valencienną, oraz białą atlasową wstążką. Długi 59 centim.,



Nr 8. Kostium wiosenny z krótkim paltocikiem.

szeroki 52 cent., fartuszek, osyty jest wokół falbanką 5 cent. szeroką, zakończoną 2 centimetrową koroneczką. Falbankę umocowiywa wstawka 1 i pół centim. szeroka, przewleczone białą, atlasową wstążeczką. Chusteczkowy kołnierz, wykrajany podług fig. 62, osyty jest takąż samą falbanką, jak fartuszek, z tą tylko różnicą, że zamiast 5 centim., ma 2 centim. szerokości. Wewnętrzny brzeg chusteczki kończy wstawka, przewleczone wstążeczką i lekko namarszczona koroneczką. Końce chusteczki, krzyżujące się na przodzie, przymocowane są do paska dwoma rozetami z białej, atlasowej wstążeczki.

Bluzka, przybrana stebnowką i sznureczkami, dla młodej osoby.

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 8.

Bluzka z błado-niebieskiej, jedwabnej materii, lekko zmarszczona z tyłu, ułożona jest z przodu w potrójną, szeroką kontrafaldę. Wierzchnia fałda 4—5 centymetrów szeroka, naszyta jest wzdłuż, gęsto zastebnowanymi sznureczkami. Od fałdy ku bokom, w skośnym kierunku, ciągną się trzy szeregi zastebnowanych sznureczków, zakończonych przy fałdzie stałowymi guziczkami. Najniższy szereg sznureczków przeciąga się pod pachą i w ząb schodzi na plecach, w niewielkiej od kołnierzyka odległości. Kołnierz przybrany jest tak samo sznureczkami, które okalają również drugi, mały kołnierz wykładany, przyszyty do stojącego. Wąskie rękawy, w górze przybrane są w ząb zastebnowanymi sznureczkami, przy ręku zaś zakończone okrągło wykrajaną falbaną.

Sukienka dla dziewczynki od 5—6 lat.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 8.

Sukienka z ponsowego, wełnianego materiału, przybrana jest plisami z tegoż materiału,



Nr 9. Kostium wiosenny z jasną kamizelką.
(Krój i opis pierw. str. tablicy Nr V, fig. 40—46).

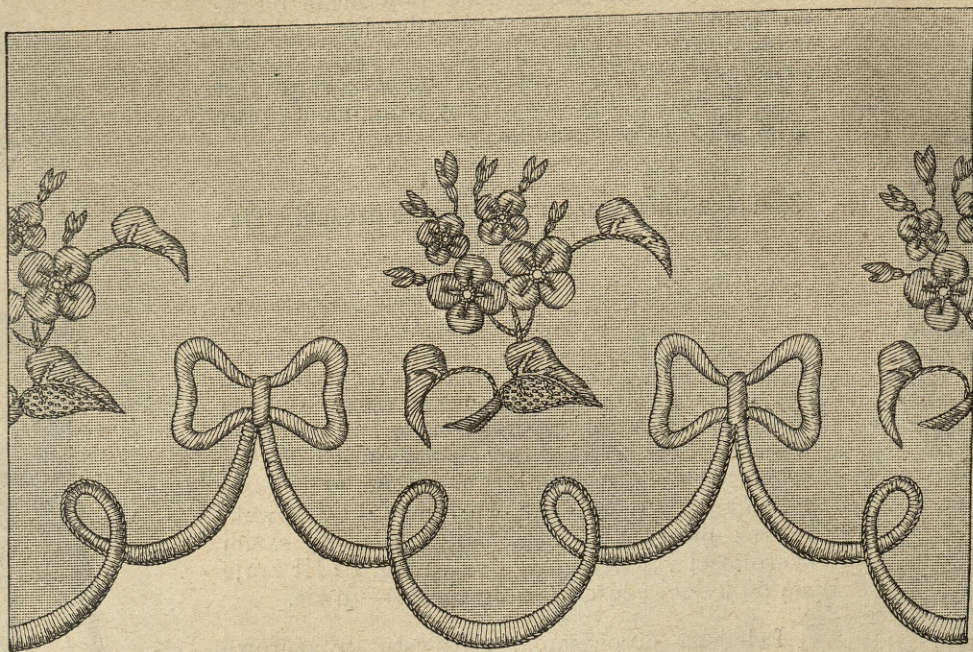
Nr 10. Tulaeta wieczorowa, przybrana haftem, dla młodych osób.

naszytymi pięć razy białą wełnianą tasiemeczką. Plisy takie obejmują wokoło spódniczkę, bluzkę z boku zapiętą przy przodzie i wokoło okrągłego karczka, — epolety, rękawy, a także plisa także sama, użyta jest zamiast paska. Karczek i epolety, wykonane są z białego kaszmiru, pokrytego ponsowem wyszyciem.

Suknia z kaszmiru z haftowanym stanikiem.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 8. (Krój pierw. str. tablicy Nr I, fig. 1—6).

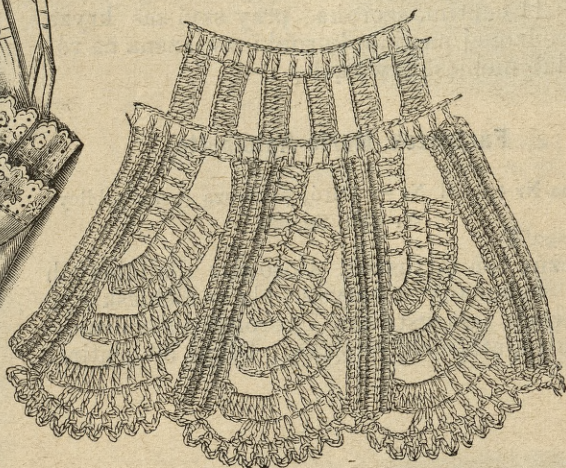
Suknia z czarnego kaszmiru, przybrana jest naszytciem z czarnego aksamitu 7 centim. szeroko-



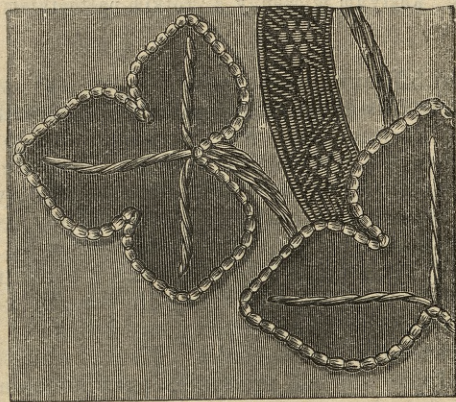
Nr 11. Hafeik atłaskiem do bielizny.



Nr 13 i 14. Nočna koszula i majtki, dla młodej panienki.
(Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 53—61).



Nr 15. Część roboty szydełkowej do ryc. Nr 12
Wielkość naturalna.



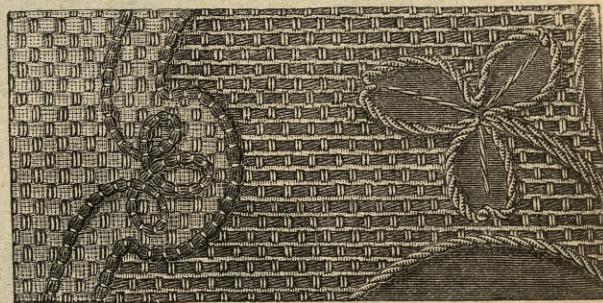
Nr 19. Część haftu do przykrycia ryciny Nr 20.
($\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej).



Nr 12. Oszycie szydełkową robotą do majtek.
(do ryciny Nr 15).



Nr 16—18. Koszule dla młodych panienek.
(Krój odwrotna strona tablicy Nr XV, fig. 114—123).



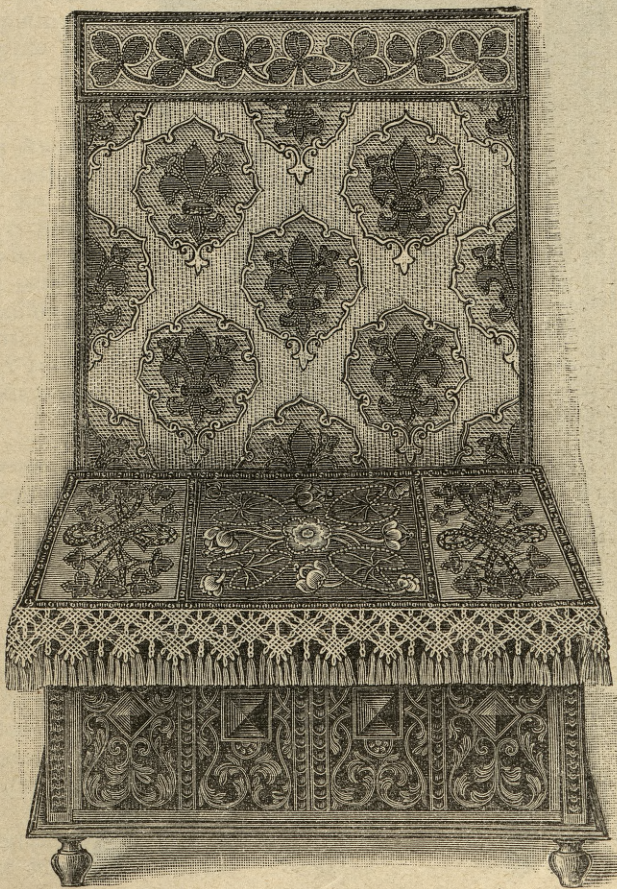
Nr 21. Część haftu do ozdoby na ścianę do ryc. Nr 20
($\frac{2}{3}$ naturalnej wielkości).

kiem, wycietem w zęby. Naszytciem to z obydwóch brzegów obwiedzione jest falbaneczką z karbowanej atlasowej wstążeczki. Takie same naszytciem zdobi bluzkowy stanik i przedłuża się na rękawach. Cały stanik, jak również rękawy, pokryte są haftem, ożywionym dżetami. Pasek zrobiony z materyału sukni. Wysoki stojący kołnierzyk z aksamitu, podłożony jest małą fryzą z atlasu.

Suknia z materyału taffetas w kratę.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 8. (Krój pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 7—17).

Spódnica z wysoką falbaną, przybrana jest dwiema małymi falbankami, zakończonymi pasmanteryjnym szlaczkiem. Stanik składa się z wierzchniej luźnej bluzki, wykonanej z materyału sukni i ze staniczka, oraz rękawów z gładkiego czarnego taffetas, pokrytego drobnymi bufkami z tiulu i marszczoną, atlasową wstążeczką. Bluzka z materyału spódnicy, naszyta jest wzdłuż przodów i pleców odpowiednią pasmanterią do szlaczku przy falbanie. Szeroka, czarna atlasowa wstążka, związana z boku na dużą kokardę zastępuje pasek.



Nr 20. Rzeźbiona skrzynia z przykryciem i ozdobą na ścianę (do ryc. Nr 19 i 21).
(Deseń do przykrycia i ozdoby na ścianę pierw. str. tabl. fig. 63—66)

Przepisy gospodarskie.

OBWARZANKI PARZONE.

Pół trzecia kubka wody i dwa kubki masła, razem zagotować, wsypać do tego cztery kubki mąki na ogniu, ciągle mieszając, aż się mąka wyrobi, potem wbijać jaja, aż do dziesięciu, nie przestając mieszać, następnie ciasto wybić, czyli wyrobić i postawić je na zimnie przez godzin pięć, na koniec brać ciasto po kawałku, robić wałeczki, targać w cukrze, skręcać na obwarzanki i w piec wolny wstawić.

KARP'.

Pokrajać karpia w dzwonka, trochę potrząsnąć solą, ugotować krótki smak z pietruszki, cebuli, wlać w rądel, dodać masła dobrą łyżkę, cukru kawałek, nalać winem francuzkiem, gotować na dobrym ogniu, dodawszy cytryny i kaparów.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana.
2. Ryba w majonezie.
3. Polędwica z garniturem.
4. Kalafiory,
5. Perliczki z kompotem.
6. Tort hiszpański.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym N-rze „Bluszczu” podać się mające.